

Odgłosy

ZBIGNIEW NIENACKI

TRADYCJA i NOWO- CZESNOŚĆ w PAŁACYKU ZMS

Jest zjawiskiem bardzo pocieszającym, że to właśnie Komitet Łódzki ZMS sprowadził do Łodzi Teatr „13 rzędów” z Opola i dał mu na gościnne występy swój lokal w Pałacyku na Piotrkowskiej. Wydaje się to bowiem świadczyć, że kierownictwo łódzkiego ZMS nie tylko rozumie gust współczesnej młodzieży, ale stara się wyjść naprzeciw zainteresowaniom kulturalnym tej młodzieży i kształtować ten gust w właściwym kierunku. Nie — popieranie wszelkiego rodzaju amatorszczyzny, pseudonowoczesnością pokrywającej nieco artystyczną i ideową, ale właśnie sprowadzenie do Łodzi teatru zawodowego, ale niezwykle nowatorskiego, jednego z ciekawszych ewenementów współczesnego życia teatralnego Polski — to wydaje mi się godne szacunku i pochwały. ZMS, zapewne nieświadomie, ale przecież tak wyraźnie dla publiczności — obronił dobre imię naszej młodzieży. Jeżeli przy okazji wystawionego w Teatrze Nowym „Akropolis” Wyspiańskiego pisało się u nas, że młodzież jest niekulturalna, bo podczas spektaklu szeleści papierkami i nie chce przyjmować proponowanych jej treści, to widziałem także ową młodzież na tymże samym „Akropolis”, ale in-scenizowanym przez Grotowskiego: co za skupienie, cisza, pochłanianie każdego słowa i każdego gestu, aktora, a potem to spokojne opuszczanie sali, półgłosne, niesmiętne rozmowy, które towarzyszą zawsze ludziom, gdy mieli do czynienia z prawdziwym dziełem sztuki. Jakże żałowałem, że podczas spektaklu w teatrze Grotowskiego nie widziałem ani jednego z kierowników naszych komercyjnych teatrów, może zobaczyliby czym naprawdę może znowu być teatr, jak głęboko potrafi wzruszyć, jeśli odrzuci narzuconą mu mieszczańską, tradycyjną



Z cyklu: „PRACA” • O KOBIETACH PISZEMY NA STR. 9 i 10.
Fot: W. BILIŃSKI

na formę i treść. I może uwiaryliby także, iż istnieje już jednak u nas i nowy widz, widz, o którym się twierdzi, że go nie ma, dlatego że nie chce się nic dla niego robić. A tym wdzięcznym odbiorcą jest na pewno młodzież, choć widziałem także na spektaklu ludzi starszych. Teatr „13 rzędów” — w tej rzekomo niekulturalnej Łodzi — grał kompletami. Jest właściwością każdego młodego pokolenia, że do swoich własnych prawd chce dochodzić po własnej drodze, zdobywając własne doświadczenie. Dlatego każda młodzież odrzuca i ośmiesza doświadczenie starszych, szydzi z mitów, które posiada starsze pokolenie — i dorabia się własnej mitologii. Z tą tendencją jakże zbieżne są poczynania artystyczne Grotowskiego, i to, co nazwano w jego teatrze „dialektyką ośmieszenia i apoteozy”. Dla-

Dokończenie
na
str. 4

TYGODNIK ŁÓDZKI



Rok VI.
Łódź, 10. III. 63.
Nr 10 (262)
Cena zł 1.—

Uchwałą Prezydium Rady Narodowej m. Łodzi 28 lutego 1963 r. „Odgłosy” odznaczone zostały Odznaką Honorową m. Łodzi.



JULIAN BRYSZ

IDZIE POWÓDŹ

CO NAM GROZI?

Złośliwi twierdzą, że tyle będziemy mogli zrobić dla zapobieżenia powodzi, co ów dróżnik ze starego makabrycznego dowcipu.

Dróżnik w pewnym momencie otrzymuje wiadomość z dwóch stacji, że właśnie wyjechały naprzeciw siebie dwa pociągi ekspresowe. Oblicza, że do spotkania dojdzie w ciągu minuty. Co robi dróżnik? Odpowiedź: Wynosi przed budkę taboret, sadza na nim stuletniego dziadka i mówi: patrz dziadku uważnie, bo chociaż żyjesz 100 lat, to takiej katastrofy jeszcze nie widziałeś.

Optymiści, a i rzeczoznawcy twierdzą, że nie jest tak źle, dalszy rozwój wypad-

ków zależy od wielu okoliczności.

Tak czy owak

WESOŁO NIE JEST

PIHM raportował 16 lutego: „Przeciętna w dorzeczu Warty grubość śniegu wynosi 31 cm. Objętość wód zretencjonowanych w pokrywie śnieżnej na obszarze dorzecza Warty wynosi 67,4 mm x 53710 km. kw. — 3620 mln. m³ — 3,62 km³.”

Wyobraźcie sobie, co to za masa — trzy i pół kilometra sześciennego wody? To chyba trzydzieści razy tyle, ile zawiera w sobie jednorazowo Warta, rzeka o niebagatelnej przeciętnej długości 808 kilometrów.

Dalszy ciąg na str. 4



WANDA KARCZEWSKA

CZARNI i BIALI

Tu, na Północy, gdzie jestem, zawsze było Murzynom najlepiej. W ogóle ta cała sprawa wyglądała tu zawsze najmniej drastycznie. Ba, ona tu nieraz wyglądała — w porównaniu z resztą tego kraju — wręcz przykładowo dobrze. Niewolnictwo trwało tu najkrócej i właściwie nie miało żadnego znaczenia. Właśnie tu, rodziły się od samego początku sprzeciwy, bijące w system niewolnictwa; tu powstał pierwszy na większą skalę zorganizowany

ruch BIAŁYCH skierowany przeciw niewolnictwu, abolicjonizm, na czele którego stał nieustraszony Garrison. Miarą trwałości i żarliwości jego przekonań był fakt, że cierpiał za nie latami więzienia i za nie poniósł śmierć, wleczony po ulicach przez rozjuszony tłum. Stąd, ze Stanów Północnych pochodził poeta kwakerski Whittier, który cały swój talent oddał sprawie zwalczania niewolnictwa, podobnie jak wybitny poeta i eseista, Ja-

Szkice amerykańskie (XII)

més Russel Lowell, jak filozof Emerson; stąd, z Nowej Anglii, pochodziła wreszcie autorka „Chaty Wujka Toma”, Harriet Beecher Stowe, której powieści były wstrząsającym, oskarżycielskim dokumentem epoki niewolniczej. I w końcu te stany, północne, chłopskie, przemysłowe, stanęły w połowie wieku XIX do wojny ze zbudowanym Południem, z Ameryką arystokracji rolniczej, z plantatorami, którzy w liczbie 3—4.000 rodzin byli właścicielami prawie wszystkich niewolników (4.000.000). Jedną z zasadniczych spraw Wojny Domowej, wojny Południa z Północą, przynajmniej jednym z hasel tej wojny, była sprawa zniesienia instytucji niewolnictwa. Stąd wreszcie, z Kentucky, wyszedł jeden z największych mężów tego kontynentu, Abraham Lincoln, który powiedział, iż każda kropla krwi niewolniczej, przelanej biczem, będzie optacona krwią przelaną mieczem dopóki nie zniszczy bogactwo, nagromadzone 150-letnią pracą niewolników. On to, Abraham Lincoln ogłosił wreszcie w r. 1862 „Emancipation Proclamation”, prokla-

mację wyzwolenia niewolników.

I rzecz ciekawa dla cudzoziemca: jestem właśnie tutaj, gdzie zawsze było i jest najlepiej, gdzie nie było i nie ma takich zaburzeń jak w Little Rock, czy w Oxford (Missisipi), gdzie to 60 policjantów wprowadzało pierwszego Czarnego na uniwersytet, a jednak... A jednak tutaj w wielu wypowiedziach przedstawicieli tej średniej klasy, wśród której się obracam ja teraz, słyszę echa dawnych twierdzeń plantatorów, echa pokrzykiwań dzisiejszych „rycerzy Południa”, którzy w obronę instytucji niewolnictwa zaprzękali Boga i powoływali się na Biblię, udawadniając jej cytatami, iż sam Stwórca słowem bożym usankcjonował system niewolniczy. Słyszę tu zamierzone argumenty białych panów z Południa o „nikczemnym, niskim i dzikim stanie Murzynów”. — tylko że te oceny odnoszą się te-

Dalszy ciąg
na str. 5

informacje zaczepki

W lutym Muzeum Nieborowskie kierowane przez doc. dra Jana Wegnera obchodziło osiemnastą rocznicę swego istnienia. Jubileusz Muzeum jest zarazem jubileuszem jego dyrektora, który kieruje tą placówką od początku 1945 roku.

Bilista sercem łódzkich elegancistów „Wólczanka” za rabiła rocznicę na swych znamy z jakości koszulach ponad 10 milionów zł. Ostatnio łódzcy odzieżowcy produkują sporo na zamówienie krajów południowo-atrykańskich.

Dwa i pół miliona złotych kosztować będzie plotkowskie Dom Nauzycielela. Otwarcie tego pleknego obiektu nastąpi wiosną. Warto dodać, że budowę zainicjowało społeczeństwo Piotrkowa dla uczczenia Tysiąclecia Państwa Polskiego.

Łódzki pisarz i dziennikarz p. Ryszard Klimczak (nawiasem mówiąc redaktor naczelny dwutygodnika „Nasze Zycie”) otrzymał wyróżnienie w Ogólnopolskim Konkursie Publicystycznym na temat pracy Związków Zawodowych.

Ostatnio rzesza absolwentów Łódzkiej Akademii Modycznej powiększyła się o 85-osobową grupę świeżo upieczonych magistrów farmacji.

Okladkę ostatniego numeru tygodnika „Świat” ozdabił zdjęcie z Kongresu Zrzeszenia Studentów Polskich. Jako ciekawostkę podajemy, że na zdjęciu tym poznaliśmy przedstawicielkę studenckiego teatru satyrycznego „Fstrąg”, p. Elę Kaźmierczak oraz p. Janusza Konopińskiego — zastępcę przewodniczącego Rady Okręgowej ZSP w Łodzi.

Już kilka osób padło ofiarą spadających sopli. Zanotowano nawet jeden wypadek śmiertelny. Wydawało się, że po takich trzęsawicach ostrzeżeń ktoś wreszcie zżymie się sprawa odpowiedzialności za lodowe pociski. Niestety, jak dotychczas, nie słyszeliśmy, aby wszczęto dochodzenia przeciwko administratorom bądź dozorcóm winnym karygodnego niedbalstwa.

J. W.

Żywot i myśli Konrada Adenauera

Ukazały się niedawno trzy książki, na podstawie których można podać czytelnikom próbę charakterystyki bońskiego kanclerza. Są to: najobszerniejsza, „autoryzowana” biografia pióra P. Weymara, Monachium 1955, s. 761; Gerst, Deutsche Bundes Republik unter Adenauer, Berlin 1957 str. 435 i d'Harcourt L'Allemagne d'Adenauer, Paryż 1958 s. 253.

Adenauer ur. w 1876, ukończył prawo w Breisgau, egzamin asesorski złożył w 1901, urzędował jako prokurator. W 1906 wybrany został ławnikiem a w trzy lata potem pierwszym prezydentem miasta Kolonii. W r. 1919 wziął udział w ruchu separatystycznym nadreńskim patronowanym przez władze okupacyjne francuskie. W latach dwudziestych był członkiem prezydium partii Centrum. Osobliwie dzisiejszy kanclerz był przeciwnikiem Lokarna i polityki Stresemanna, którą uważa się dziś za precedens unii europejskiej.

Po dojściu Hitlera do władzy został pozbawiony urzędu a nawet na krótko aresztowany w 1934, a następnie po raz drugi po zamachu 20 lipca 1944. Adenauer znalazł Goerdelera, ale nie brał udziału w spisku i już w listopadzie został zwolniony. Nową rolę polityczną rozpoczął jako burmistrz Kolonii z ramienia władz okupacyjnych amerykańskich. Był tak lojalny w stosunku do Amerykanów, że w lecie 1945 odmówił akcesu do CDU. Nie uchroniło go to od dymisji (jesień 1945). Zaczyna teraz swą działalność w CDU narzucając się jako najstarszy wiekiem na przewodniczącego pierwszego zjazdu CDU w strefie brytyjskiej. Kontaktom ze sferami bankierskim (Pferdmenges) zawdzięczał, że Brytyjczycy przedłożyli go nad Schumachera, z którym pierwotnie rozpoczęli pertraktacje. Adenauer przyczynił się w dużym stopniu do tego, że aliancy zaniechali rozpoczętego demonstacji fabryk Zagłębia Ruhry. Drugim sukcesem Adenauera było przeprowadzenie przekształcenia dawnego katolickiego Centrum na partię chrześcijańsko-demokratyczną z teoretycznie równym podziałem mandatów w za-

państwo bynajmniej nie dąży do stworzenia własnej armii. To stanowisko szybko zostanie porzucone. Przypomnę, że w listopadzie 1949 Francja była przeciwna przyłączeniu NRF do NATO. Wiosną 1950 rozpoczęły się rozmowy w sprawie utworzenia europejskiej wspólnoty węgla i stali. Była to inicjatywa francuska podchwytana bardzo skwapliwie przez NRF. Te koncepcje miały doprowadzić następnie do Europejskiej Wspólnoty Obronnej. Wojna w Korei wpłynęła przyspieszając na ten proces. Adenauer łamie opozycję przeciw militaryzacji w łonie rządu i własnej partii (pastor Niemoeller). Koncepcja jedności Europy stała się przewodnim motywem polityki bońskiej. Adenauera nazwano „architektem Europy”, w szkołach NRF zaczęto głosić historyczne wywody na temat przesłanki jedności europejskiej w XIX w. Adenauer zaś mówi, że NATO bez NRF jest nie do realizacji. Wygrywa strach przed rzekomym niebezpieczeństwem ze strony ZSRR. W grudniu 1950 przemawia już otwarcie za przyspieszeniem decyzji co do uzbrojenia NRF, zwalczając ostro opozycję SPD, która wówczas była jeszcze przeciwna militaryzacji. Wiosną 1951 zostają podpisane umowy dotyczące wspólnoty węgla i stali. Realizują się pomysły Adenauera datujące się jeszcze z 1924 r. To porozumienie jest wstępem zbliżenia do Francji, co dziś kanclerz uważa za swój największy sukces dyplomatyczny. Przechodzi do porządku nad opozycją krytykującą niejasne sformułowania w sprawie Saary. Zima 1951/2 wypełniona jest pertraktacjami, chodzi o wejście NRF do NATO. Sfinalizowanie rozmów następuje w maju 1952, ratyfikacja opóźnia się na skutek opozycji SPD (Schumacher), nastąpiła po decyzji trybunału konstytucyjnego w Karlsruhe, który stwierdził, że uzbrojenie NRF nie jest sprzeczne z konstytucją. Nowy przywódca SPD Ollenhauer poszedł na ustępstwa. Podróż Adenauera do Stanów Zjednoczonych (kwiecień 1953) uważana jest za wielki sukces propagandowy: „w klimacie pełnej czci

sympatii i wzajemnego zrozumienia”. Echem wewnętrzny tego sukcesu był zwycięski wynik wyborów dla CDU we wrześniu 1953, KPD została całkowicie wyeliminowana. Wkrótce nastąpiła jej delegalizacja (decyzja z roku 1954, wejście w życie 1956). Równolegle rząd boński likwiduje wszelkie organizacje mające na celu zjednoczenie Niemiec. Od października 1950 powołał kanclerz tzw. urząd Blanka, pierwotnie przeznaczony dla pertraktacji w sprawie dostarczenia koszar dla wojsk okupacyjnych i

lawy wojskowe (lipiec 1956). Wybory we wrześniu 1957 przyniosły nowy sukces partii CDU. Kampanię wyborczą prowadzono pod hasłem solidarności z Zachodem, obrony przed niebezpieczeństwem ze Wschodu. Ostatnio zawarcie sojuszu z de Gaulle'em znowu wzmocniło wewnętrzną sytuację kanclerza, ale sojusz ten niezbyt mile widziany jest w Waszyngtonie. Przedłużanie się pertraktacji o przystąpieniu Anglii do Wspólnoty Europejskiego Rynku komplikuje grę Adenauera. Afera „Spiegla” nie przyczyni-

ła się także do wzmocnienia pozycji kanclerza, zbyt zaangażował się w obronę Straussa, który ostatecznie musiał ustąpić. Polski czytelnik zna fotografię kanclerza w białym długim płaszczu z czarnym krzyżem. Stary kanclerz gościł w pewnych okolicznościach pertraktować z ZSRR, z nami rozmawiać nie chce. Wszystkie związki przesiedleńcze znajdują w nim gorliwego orędownika. Pod skrzydłami Adenauera wyrósł też Gehlen i jego oślawione biuro wywiadu. Kanclerz reprezentuje prawie we własnym stronnictwie, jest powiązany ściśle z wielką finansjerką i wielkim przemysłem. Wygrywał zaś umiętnie swą antyhitlerowską przeszłość, jakkolwiek nie była ona bardzo bojowa.

J. D.



terenów na poligony i lotniska. Z tego urzędu wyróżniło ministerstwo Bundeswehry. Dojście do skutku Europejskiej Wspólnoty Obronnej zostało opóźnione na skutek opozycji francuskiego Zgromadzenia Narodowego. Konferencja berlińska 1955 nie doprowadziła do żadnych zmian w statucie Berlina. Adenauer uznał jednak za stosowne we wrześniu 1955 przyjąć zaproszenie rządu radzieckiego i pojechać do Moskwy. Nawiazano stosunki handlowe i uzyskano zwolnienie jeńców niemieckich. Nastąpił rzeczywisty wzrost obrotów towarowych między NRF a ZSRR. Sukcesem Adenauera była likwidacja okupacji Saary i powrót jej do administracji republiki związkowej (maj 1957). Mimo opozycji SPD sejm związkowy przyjął us-

urządaliśmy się po tej całej tulaczce w Warszawie”. Po wojnie pani Jadwiga postanawia wracać do Łodzi, do Radia. Był marzec 1945 roku. Na ulicy Kościuski 40, na piątym piętrze mieściła się powojenna Rozgłównia — jedno małe studio nadające pierwsze programy lokalne przez megafony uliczne. Te, wybudowaną przed wojną przy ulicy Narutowicza Niemcy wysadzili w powietrze. Na Kościuski pracowali już od chwili wyzwolenia Łódź radjodowodcy z pierwszej polskiej Rozgłówni zorganizowanej w Lublinie po ogłoszeniu Manifestu PKWN. Dyrektorem Rozgłówni łódzkiej był wówczas Anatol Radzinowicz, znany dziś scenograf filmowy, speakerami byli Igor Sikiryczki, dziś pisarz, autor książki dla dzieci, Jeremi Przybora i Zdzisław Suwalski, dziś aktorzy i Feliks Bąbol, dziś znany w Łodzi dziennikarz, urzędnikiem Anatol Kobylński, znany poszukiwacz filmowych gwiazd. Rozgłównia się rozwijała, powstały dwa nowe studia na parterze kamienicy na Kościuski, Łódź nadawała „kablem do Warszawy (nie było jeszcze anteny, ani fali), koncerty, słuchowiska, wszystko „na żywo”, wprost ze studia.

EWA SULIBORSKA



Łódzianie
1963

Jadwiga Cedrowska

Był rok 1936, a może 1937, ktoś potrafił tę datę odwozować dziś z pamięci dokładnie po tylu latach i tylu doświadczeniach. Działająca od paru lat w Łodzi Rozgłównia Polskiego Radia ogłosiła konkurs na speakera. Były to czasy, gdy Rozgłównia mieściła się w domu przy ulicy Wołowej, hen, za Rzeźnią Miejską, na uliczce prawie wiejskiej, oddalona od śródmieścia i dostępna kilku tylko wtajemniczonym. Przed jury konkursu, zasiadał w nim już wówczas Ludwik Szumlewicki i Bolesław Busiakiewicz (wtedy speaker Rozgłówni) stanęła młodziutka i śliczna pani Jadwiga Cedrowska. Kandydatów było pięćdziesięciu, w tym kilku zawodowych speakerów. Pani Jadwiga konkursu wprawdzie nie wygrała, ale czcigodne jury zaproponowało jej, jak to się teraz mówi, współpracę. Niedawna maturzystka gimnazjum Szczerzyńskiej, marząca o karierze filmowej gwiazdy, albo o karierze lekarza-chirurga, mająca za sobą kursy maszynopisania i kilka urzędniczych posad, w niedługim czasie po występie na konkursie w prawdziwym studio, przed prawdziwym mikrofonem włączyła pogadankę własnego pióra — „Moje wrażenia z podróży do Sztokholmu”. Odtąd pani Jadwiga od czasu do czasu siadała przed mikrofonem, dawano jej do czytania teksty. Była lektorką radiową. Cała Rozgłównia składała się wówczas z jednego małego studia i ampli-

fikatorni, nie było, tak jak dziś, całego sztabu redaktorów, urzędników, techników. Speakerzy redagowali teksty, prowadzili audycje, a cały, mały bardzo program lokalny wypełniała dokładnie muzyka z płyt, pogadanki i komunikaty. „Potem, Rozgłównia była wtedy piękna, dopiero co wybudowana na ul. Narutowicza, mój kontakt z Radem był częstszy — mówi pani Jadwiga. Zastępowałam speakerów, czytałam, program był już wówczas znacznie większy. Rozgłównia się rozbudowywała, a ja już zaraziłam się radiowym bakcylem. Pamiętam, że ówczesny redaktor muzyczny Jerzy Sulikowski, uczeń Paderewskiego i uroczy człowiek, zaangażował mnie do robienia kartotek utworów muzycznych. Był to pierwszy chyba w łódzkim Radio spis płyt. Ułożyłam pierwszą płytotekę”. 1 września 1939 roku pani Jadwiga Cedrowska ogłosiła łódzianom wybuch wojny. Była speakerem dyżurnym. Potem ogłaszała komunikaty wojenne i owo „Uwaga, uwaga, zbliża się...”. 6 września rano pani Jadwiga niktogo już w Rozgłówni nie zastała. Wojenna panika objęła i radiowców.

— Nasze auto zarezerwowało dwóch polskich oficerów, byli ranni, kazali się wieźć do Warszawy. Potem jeszcze uciekaliśmy z meżem na wschód z obłożonej Warszawy aż do Lwowa. Na krótko wróciłam do Łodzi, fikatorni, nie było, tak jak dziś, całego sztabu redaktorów, urzędników, techników. Speakerzy redagowali teksty, prowadzili audycje, a cały, mały bardzo program lokalny wypełniała dokładnie muzyka z płyt, pogadanki i komunikaty. „Potem, Rozgłównia była wtedy piękna, dopiero co wybudowana na ul. Narutowicza, mój kontakt z Radem był częstszy — mówi pani Jadwiga. Zastępowałam speakerów, czytałam, program był już wówczas znacznie większy. Rozgłównia się rozbudowywała, a ja już zaraziłam się radiowym bakcylem. Pamiętam, że ówczesny redaktor muzyczny Jerzy Sulikowski, uczeń Paderewskiego i uroczy człowiek, zaangażował mnie do robienia kartotek utworów muzycznych. Był to pierwszy chyba w łódzkim Radio spis płyt. Ułożyłam pierwszą płytotekę”. 1 września 1939 roku pani Jadwiga Cedrowska ogłosiła łódzianom wybuch wojny. Była speakerem dyżurnym. Potem ogłaszała komunikaty wojenne i owo „Uwaga, uwaga, zbliża się...”. 6 września rano pani Jadwiga niktogo już w Rozgłówni nie zastała. Wojenna panika objęła i radiowców.

— Nasze auto zarezerwowało dwóch polskich oficerów, byli ranni, kazali się wieźć do Warszawy. Potem jeszcze uciekaliśmy z meżem na wschód z obłożonej Warszawy aż do Lwowa. Na krótko wróciłam do Łodzi, urządziliśmy się po tej całej tulaczce w Warszawie”. Po wojnie pani Jadwiga postanawia wracać do Łodzi, do Radia. Był marzec 1945 roku. Na ulicy Kościuski 40, na piątym piętrze mieściła się powojenna Rozgłównia — jedno małe studio nadające pierwsze programy lokalne przez megafony uliczne. Te, wybudowaną przed wojną przy ulicy Narutowicza Niemcy wysadzili w powietrze. Na Kościuski pracowali już od chwili wyzwolenia Łódź radjodowodcy z pierwszej polskiej Rozgłówni zorganizowanej w Lublinie po ogłoszeniu Manifestu PKWN. Dyrektorem Rozgłówni łódzkiej był wówczas Anatol Radzinowicz, znany dziś scenograf filmowy, speakerami byli Igor Sikiryczki, dziś pisarz, autor książki dla dzieci, Jeremi Przybora i Zdzisław Suwalski, dziś aktorzy i Feliks Bąbol, dziś znany w Łodzi dziennikarz, urzędnikiem Anatol Kobylński, znany poszukiwacz filmowych gwiazd. Rozgłównia się rozwijała, powstały dwa nowe studia na parterze kamienicy na Kościuski, Łódź nadawała „kablem do Warszawy (nie było jeszcze anteny, ani fali), koncerty, słuchowiska, wszystko „na żywo”, wprost ze studia.

Dokończenie
na str. 8

CZAS OCHRONNY dla HISTORII FILMU



ROSSANNA SCHIAFFINO

W trakcie obserwacji piśmiennictwa filmowego — zarówno wydawnictw książkowych, jak i periodyków filmowych, a także czasopism poświęcających większą lub mniejszą ilość miejsca sprawom filmowym, można dojść łatwo do wniosku, że historia filmu wymyka się zainteresowaniom piszących. (Jedynym wyjątkiem jest tu „Kwartalnik Filmowy”, pismo specjalistyczne, redagowane przez historyka filmu prof. J. Toeplitza). Historia nie jest więc modna, chociaż znajomość jej jest bardzo potrzebna. Teoretycy filmowi chętnie zajmują się badaniem nad literackością filmu, związkami filmu z plastyką, rzeźbą, architekturą, rozważają o muzycznej strukturze filmu — nie biorąc pod uwagę perspektywy historycznej, bez której tak łatwo popaść w pustostawie. Więcej, ponieważ publicyści filmowi, korzystając z nabytej wiedzy encyklopedycznej nie wahają się pisać szkiców historycznych, płytkich i powierzchownych — z konieczności.

W potocznych rozważaniach o filmie, a nawet na zebraniach „biegłych w piśmie” spotkać można wiele ciekawych i wnikliwych analiz filozoficznych, estetycznych, dramaturgicznych i strukturalnych filmów, które przechodzą przez nasze ekrany. Wiele z tych analiz przeprowadzono z wielką sumiennością i z dużym nakładem pracy — pracy, której można by sobie zaoszczędzić, gdyby nie zapomniano o istnieniu badań historycznych. Wzrost formalne filmu bardzo często stają się nie do odczytania bez odniesienia historycznego. Wprowadzić potrafią odebrać filmy współczesne, typu „Hiroshima, moja miłość”, ale już poetyka filmów wznawianych po kilkunastu latach staje się bardzo trudna do właściwej oceny bez

możliwości uzmysłowienia sobie zagadnień nurtujących epokę, w której powstały. Przypomnijmy zamęt wywołany filmem o scenariuszu Sartre'owskim „Kości rzucone”, czy też, zachowując wszystkie proporcje, takie filmy jak „Wieczorni goście”, czy też filmy Capry, wznowione przez telewizję i dość surowo ocenione przez publiczność. A czyż można analizować zdobycze formalne awangardowych filmów lat dwudziestych, owego „złotego dziesięciolecia” filmu niemelego, bez obszernej znajomości epoki?

Rozważania ahistoryczne powodują zawieszenie filmu w próżni, w zamkniętej szelnie wieżycze z kości słoniowej, do której dostęp mają wyłącznie posiadacze wyższych stopni wtajemniczenia.

FILM JEST SZTUKĄ SYNTETYCZNA — oto fundamentalne twierdzenie historii sztuki filmowej. Przyjęcie i uznanie tego twierdzenia pociągnęło za sobą ogromnie ważne skutki — istotne nie tylko dla historii, ale i dla pokrewnych dziedzin, a więc głównie teorii filmu. W konsekwencji historyk sztuki filmowej musi znać dzieje i zasady rządzące pokrewnymi gałęziami sztuki i to nie tylko w okresie zbliżonym chronologicznie, ale i poprzedzającym, często na wiele dziesiątków i setek lat, badane zjawisko filmowe. Film wykorzystuje elementy wszystkich bez mała dziedzin sztuki — literatury, malarstwa, grafiki, muzyki, tańca, rzeźby, architektury, teatru — i badając ciekawsze dzieła filmowe należy odwoływać się do znajomości elementarnych zasad rządzących tymi dziedzinami sztuki. Trudno jest, na przykład, analizować wszechstronnie filmy Eisensteina, nie wiedząc nic o sztuce japońskiej, o ideogramach, o teatrze Kabuki, o malar-

stwie bizantyjskim, sztuce cerkiewnej dawnej Rosji, o kompozycji plastycznej, a wreszcie o kontrapunkcie — rozumianym i stosowanym bardzo szeroko, nie tylko w muzyce.

Tak więc już sama ocena formalna nakłada na historyka sztuki filmowej duże obowiązki. Ponadto należy przecież film porównać z innymi wytworami kultury ogólnej, znaleźć punkty odniesienia, konieczne dla uzyskania obiektywnej oceny, jednym słowem umieścić film w ogólnej atmosferze kulturalnej.

To wszystko jest jeszcze nie wystarczające. Poza zagadnieniami związanymi ściśle ze sztuką i kulturą, z ciekawymi problemami natury filozoficznej nurtującymi społeczeństwo, należy jeszcze poznać dokładnie stan gospodarczy i sytuację społeczną kraju, z którego pochodzi badany film, trzeba znać zagadnienia polityki wewnętrznej i zewnętrznej tego kraju, a także zasadnicze powiązania z analogicznymi zagadnieniami na gruncie międzynarodowym. Historyk musi umieć spojrzeć na film przez pryzmat wydarzeń i zjawisk nieraz pozornie bardzo odległych od zasadniczego obiektu badań. Przy tym w odróżnieniu od teoretyków filmu, historyk ma prawo i powinien obdarzyć zainteresowaniem nie tylko dzieła klasyczne w swym artyzmie, ale także filmy drugo i trzeciorzędne. Błaha komedyjka, nie warta uwagi estety, jest dla historyka bardzo interesująca, ze względu na odbijające się w niej (czasem żenująco naiwne) czółowe problemy epoki.

Historyk ma więc inne kryteria oceny. Ważne jest dla niego nie tylko bieżące ustosunkowanie się do zjawisk filmowych, ale i dużo bardziej ciekawsze porównanie reakcji krytyki z reakcją publiczności. Na przykład filmu

„Złoto” przyszli historycy nie będą mogli ocenić bez porównania recenzji Krzysztofa Teodora Toeplitza z postawą publiczności. Nie znaczy to bynajmniej, że publiczność ma lepszy gust — ma czasem trochę zdrowego rozsądku.

Te porównania szczególnie cenne są dla historyka w wypadku filmu uznanego przedwczesnie za arcydzieło. Tułaj znowu w grę wchodzi czas.

Starzenie się filmu jest nie tylko funkcją techniki. Niektóre ze starych chronologicznie filmów, realizowane stosunkowo prymitywną techniką są do dzisiaj żywe i przejmujące — że wymienię chociażby „Towarzyszy broni”, film, który powstał w 1937 roku wrusza nas obecnie tak samo, jak w dniach swojej młodości, a kto pamięta o takiej na przykład „Przygodzie w Adenie” — szerokoekranowej i kolorowej?

Na ogół przyjmuje się, że wystarczającą barierę czasową między emocją pierwszego spotkania z filmem a koniecznością zobiektywizowania spojrzenia jest okres pięcioletni. I podczas gdy krytyk i teoretyk hasają po zielonej łączce świeżych wrażeń, historyk cierpliwie czeka aż nadejdzie jego wielka chwila; chwila w której zbierze w całość wszystkie potrzebne mu do oceny elementy i z perspektywy czasu oceni film raz jeszcze, traktując go na równi z wypowiedziami recenzentów jako element układowy.

Tak więc nieznana, mało popularna dziedzina wiedzy o filmie w swej skromności kryje prawdziwą siłę. Jej metody, jak i kryteria jej oceny mogą się zmieniać — ale w miarę upływu czasu dzielącego nas od daty dokonania wynalazku kinematografu, historia sztuki filmowej rośnie w siłę, widoczna szczególnie w okresach nerwowych poszukiwań nowych form sztuki, odpowiednich dla wyrażenia nowych problemów. Dlatego też w tytule nawołujemy do stosowania czasu ochronnego wobec historii i historyków filmu.

Metryki „Gwiazd”

Jeden z naszych czytelników ma bardzo ciekawe zainteresowania. Od kilku już lat zbierał on z różnego rodzaju publikacji informacje o miejscu i dacie urodzenia znanych ludzi ze świata filmowego. Powstał z tego bardzo ciekawy materiał, który posta-

nowiliśmy opublikować w kilku kolejnych numerach mieszanki filmowej, gdyż wydaje nam się, zainteresuje on także innych czytelników. Oto nazwiska ludzi filmu w porządku alfabetycznym, a obok miejsce i data ich urodzenia.

1. Annabella	Paryż, Francja	1912
2. Armstrong Louis	New Orleans, USA	1900
3. Astaire Fred	Omaha, USA	1899
4. Baker Josephine	St. Louis, USA	1907
5. Barbirolli John	Londyn, Anglia	1899
6. Bardot Brigitte	Francja	1934
7. Basie Count	Red Bank, USA	1904
8. Belafonte Harry	New York, USA	1927
9. Bergman Ingrid	Sztokholm, Szwecja	1917
10. Berling Irving	Temun, ZSRR	1888
11. Bernstein Leonard	Lawrence, USA	1918
12. Boyer Charles	Figeac, Francja	1899
13. Brailowsky Alexander	Kijów, ZSRR	1896
14. Britt May	Szwecja	1936
15. Brynner Yul	Władywostok, ZSRR	1920
16. Callas Maria	Nowy York, USA	1923
17. Casals Pablo	Vendrell, Hiszpania	1876
18. Chaplin Charles	Londyn, Anglia	1889
19. Chevallier Maurice	okolice Paryża, Francja	1889
20. Churchill Sarah	Londyn, Anglia	1914
21. Cliburn Van	Shreveport, USA	1935
22. Colbert Claudette	Paryż, Francja	1905
23. Como Perry	Canosburg, USA	1912
24. Crosby Bing	Tacoma, USA	1904
25. Darrieux Danielle	Bordeaux, Francja	1917
26. de Havilland Olivia	Tokio, Japonia	1916
27. Dietrich Marlene	Berlin, Niemcy	1904



MARLENA DIETRICH

EKRANIK

■ Zgodnie z uchwałą IC KPZR w sprawie rozwoju kinematografii fabularnej zorganizowano w Moskwie wyższe kursy dla scenarzystów. Program tych kursów obejmuje wykłady z dziedziny estetyki marksistowsko-leninowskiej, dramaturgii i reżyserii filmowej. Na kursy przyjeżdżają na podstawie egzaminów 35 młodych prozatorów, poetów i dramaturgów z różnych republik związkowych. Kurs ma trwać 18 miesięcy a wykładowcami są czołowi reżyserzy filmowi.

■ W Szwecji produkcja filmowa w ostatnich latach wykazuje stałą tendencję spadkową. Podczas gdy w czasie wojny realizowano rocznie przeciętnie 40 filmów fabularnych, to w roku 1961 zrealizowano tylko 15. Spada także stale import filmów z zagranicy zwłaszcza amerykańskich, których w roku 1961 zakupiono 125 w porównaniu do 188 w roku 1958. Ostatnio szwedzkie centrale wynajmu filmów wykazują coraz większe zainteresowanie produkcją filmową z Polski, Czechosłowacji, Jugosławii, Hiszpanii, Grecji i Meksyku.

■ Ingmar Bergman kończy dwa filmy — „Goście ostatniej wieczerzy” na temat zagrożenia ludzkości przez wyścig zbrojeń atomowych, oraz film „Millecennie”, w którym gra tylko 5 osób, zaś ilustracje muzyczna oparto na utworach Bacha i Mozarta. Premierę pierwszego z tych filmów odbyły się w Sztokholmie, w Nowym Jorku, Rzymie i Monachium.

CO w terenie?

W okresie od 24 marca do 7 kwietnia br. odbywać się będą eliminacje IV Łódzkiego Festiwalu Piosenki Chórnej organizowanego z inicjatywą Łódzkiego Towarzystwa Muzycznego, Zjednoczenia Polskich Zespołów Spiewających i Instrumentalnych, WZSP, WKZZ oraz Wydziałów Kultury Prez. RN m. Łodzi i Prez. WRN. IV Festiwal przebiegać będzie pod znakiem 1000-lecia Państwa Polskiego, 100 rocznicy Powstania Styczniowego i 20-lecia powstania Wojska Polskiego.

Jeden z najstarszych kościołów drewnianych w naszym województwie, a mianowicie kościół pod wezwaniem św. Zygmunta w Wiktoriańcu pow. Wietuń, został w tym roku poddany kapitalnemu remontowi. Kościół jest majstersztykiem ciesielki ludowej przełomu XV-XVI w. Najcenniejszą zaletą tego budynku jest nienaruszona charakterystyczna konstrukcja zrębowa oraz oryginalne władanie dachowe w systemie tzw. widelkowym (XVI w.). Wnętrze kościoła stanowi swego rodzaju muzeum rzeźb ludowych (figury drewniane, feretrony, ołtarze, łecze, itp.).



Powiatowa i Miejska Biblioteka Publiczna w Rawie Mazowieckiej obsługuje 1697 stałych czytelników, a za całe jej pomieszczenie służą jedynie cztery malutkie pokójki. W tych warunkach nie ma mowy o normalnej pracy tej placówki, borykającej się prócz tego z poważnymi trudnościami finansowymi. Jeden pokój służy jako wypożyczalnia, w pozostałych zgromadzony jest księgozbiór. Wszelkie prośby o przydzielenie odpowiedniego lokalu, kierowane pod adresem kompetentnych władz pozostają do tej pory niewystuchane. Wielką rolę w tym celu dla Biblioteki i powiększającej się grona jej użytkowników...

IDZIE POWÓDŹ

Dokończenie ze strony 1

Na całym obszarze województwa łódzkiego zmagazynowaną aktualnie w śniegu wodę oblicza się w przybliżeniu na ok. 10 miliardów metrów sześciennych.

Tegoroczne opady śniegu były dziesięciokrotnie obfitsze niż w ostatnich latach, czterokrotnie przewyższają średnią wieloletnią. Specjaliści twierdzą, że nie było takich śniegów od roku 1891.

Widzieli więc już coś takiego dziadkowie stuletni, ale 72-letni nie widzieli. Oto odwet zimy za kilka poprzednich lat beznieżnych.

Czy topniejące masy śniegu spowodują powódź? Nie stety, nie można dać odpowiedzi przeczącej. Kwestia pozostaje tylko rozmiar powodzi i nasze przeciwdziałania. Jeśli podczas roztopów będziemy mieli temperaturę „idealną“, w ciągu dnia plus 5-8 stopni, zaś nocą minus 3-4 stopnie, to wody spłyną dość posłusznie.

Następny warunek — wiatr. W lutym ubiegłego roku przez cały tydzień wiały wiatry północne, sztormowe fale zalewały łąd i odpychały wody rzek. Podczas takiego sztormu poziom wody przy ujściu rzeki może podnieść się nawet o 5 metrów. Wówczas odpływ topniejącego śniegu zostaje zahamowany. Jeżeli więc nie będzie wiatru północnego...

Tych „jeżeli“ jest więcej, trudno wszystkie wyliczyć.

ROK WCZĘSNIEJ

Największe po wojnie powodzie wystąpiły w latach 1947 i 1962. Oto niektóre dane z bilansu roku ubiegłego.

* Powodzie trwały z przerwami właściwie pół roku, od połowy lutego do końca

lipca. Na początek, w dniach 17-25 lutego przyszedł sztorm. Straty w czterech województwach nadmorskich wyniosły ponad 90 milionów złotych, 6 marca ruszyły lody. Dzięki sprawnej akcji kruszenia zatorów, woda nigdzie w zasadzie nie przewała wałów ochronnych, jednak straty były. Pogotowie powodziowe odwołano dopiero z końcem kwietnia. Jednak już w 2 tygodnie później, skutkiem deszczowej trzydniówki 14-16 maja, ogłoszono pogotowie na nowo dla dorzecza Odry i Warty. Obrzynie deszcze przyniosły w ciągu 3 dni ponad 100 milimetrów opadu. Na terenie województwa warszawskiego pod wodą znalazło się 90 tysięcy hektarów pola i łąk, zniszczeniu uległo ponad 500 zabudowań, 80 mostów i przepustów.

Ale to nie był koniec. Nasycona do maksimum ziemia, musiała przyjąć w ciągu pierwszych siedmiu dni czerwca tyle opadów, co normalnie przez okres całego miesiąca. Meteorologowie napisali: „zdolność retencyjna na terenie dorzecza była praktycznie równa zeru“. Czwarły alarm powodziowy odwołano dopiero po 30 dniach.

* Woda, która nie miała dokąd odpłynąć, zajmowała wiosną ubiegłego roku obszar 700 tysięcy hektarów (w woj. łódzkim — 64 tysiące). Jednak dzięki ofiarnej akcji ludności uchroniono od zalania przeszło 55 tysięcy hektarów terenów nizinnych. To wskazuje najlepiej, jak wiele może zdziałać zorganizowana ingerencja człowieka.

* Poszkodowanych powodzią zostało 12 województw. Ogólne straty za okres półrocznego obliczono na 1,3 miliarda złotych, w tym dla woj. łódzkiego dokładnie 290 milionów 540 tysięcy. Do końca ubiegłego roku niektórych szkód nie zdążono naprawić. W sprawozdaniach napisano: „roboty zostaną wznowione po spływie lodów, z przewidywanym terminem zakończenia do końca

II kwartału 1963“. W początkach marca 1963 ta optymistyczna zapowiedź wygląda na trochę ponury żart.

PUNKTY NEWRALGICZNE

Ze 130 rzek województwa łódzkiego, najbardziej niebezpieczna jest Warta, Siemichów, Słiwaków, Bobry, Szczepocice, Burzenin, to nadwarciańskie miejscowości, w których, zwykle tworzą się zatory lodowe. Warta — rzeka kręta, przecięta co najmniej setką mostów, przepustów i spiężeń — nie będzie na pewno w tym roku żartować.

Łodzi powódź w całym tego słowa znaczeniu nie zagraża, ale wystąpi na pewno nie mniej groźna w skutkach jej odmiana „piwnicowa“.

Najbardziej newralgicznym punktem województwa jest w tej chwili jeden z ważnych mostów kolejowych na Warcie. Między lodem a spodem konstrukcji zostało tam tylko 60 centymetrów prześwitu. Dzień i noc czuwają ludzie, 200 metrów w górę i w dół mostu wyrąbano kanał, baczą by ani na moment znowu nie zamarzł. Przy obu krańcach mostu ustawiono gotowe do działania aparaty spawalnicze. To przygotowanie na najgorsze.

W OCZEKIWANIU

Trzydzieści sześć najbardziej zagrożonych obiektów

w województwie pozostaje pod ochroną oddziałów wojsk inżynierskich. Przygotowano już plany ewakuacji i kwatery zastępcze w miejscowościach, w których istnieje niebezpieczeństwo zalania domów.

W każdym powiecie i mieście wydziałem działają już komitety przeciwpowodziowe, z uwagi na wyjątkową groźbę utworzono w tym roku także 150 komitetów gromadzkich. Komitety dysponują 25 tysiącami worków (napelniane piaskiem posłużą do latania przerwanych wałów), łodziami, linami i pontonami. Według opinii fachowców, zaopatrzenie w sprzęt jest dostateczne.

Pogotowie przeciwpowodziowe ogłoszono 24 lutego. Od tego momentu na każde wezwanie gotowych jest w województwie 2,5 tysiąca ludzi. W odwodzie oczekuje 30 tysięcy.

Wojewódzki Komitet Przeciwpowodziowy zapewnił sobie 4 systemy łączności z terenem. Na hasło „błyskawica — powódź“ centrala międzymiastowa łączy natychmiast. Czuwa 28 radiostacji straży pożarnej, 12 radiostacji TOPL i Ligi Obrony Kraju, wyposażony jest w radiostacje każdy oddział wojskowy. Ustalono kryptonimy, długości fal, czasy nasłuchu i odbioru. Na razie w „eterze powodziowym“ — cisza radiowa.

* * *
Nie ma co ukrywać — nie ma pewności, że jesteśmy odpowiednio przygotowani do odparcia sztormu powodzi. Do tego potrzebne jest przede wszystkim uregulowanie rzek i budowa dziesiątków zbiorników retencyjnych, gdzie gromadziłyby się nadmiar wody. Wobec innych pilnych potrzeb, nie zabrano w pełni o ochronę przeciwpowodziową. Po wojnie Warta na terenie naszego województwa wzbogaciła się na nizinnym odcinku Sieradz-Uniejów zaledwie o 3,5 kilometra wałów.

Ochrona doraźna nie jest bez znaczenia, ofiarność ludzka może zapobiec wielu nieszczęściom. W naszej niewesołej sytuacji potrzeba ofiarności szczególnej.

„Nie można przewidzieć rozmiarów powodzi, zależy to od wielkiej ilości niewiadomych“ — mówi sekretarz wojewódzkiego komitetu, inż. Zdzisław Wilkowski. Ten człowiek pracuje dniem i nocą, na obsadzenie etatu jego pomocnika jakoś nie ma chętnych. „Woda jest najstraszliwszym z żywiołów“ — dodaje na zakończenie naszej rozmowy. W jego ustach nie brzmi to jak truizm, bo to człowiek świadomy wszelkich treści, które kryją się w takim uogólnieniu.

Bądźmy i my świadomi.

JULIAN BRYSZ



Tradycja i nowoczesność w Pałacyku ZMS

Dalszy ciąg ze str. 1

tego właśnie przede wszystkim młodzież tak śpieszy do jego teatru, o którym sam Grotowski żartobliwie mówi, że stał się teatrem „młodego widza“. Dlatego teatr Grotowskiego wydaje mi się także teatrem politycznym i zaangażowanym. I jest on również, że użyje może trochę pompatycznego wyrażenia — wyrazem zdrowia psychicznego naszego narodu, jego skłonności do higieny. Bo tak, jak od czasu do czasu trzeba przedstawiać pewne sprzęty w mieszkaniu, aby wymieść kurze, ale potem sprzęty te ustawia się na nowo, tak jest zdrowo spojrzeć inaczej niż dotąd, ironicznie i

krzywo na swoją mitologię, aby ją potem tym bardziej cenić i rozumieć.

„Akropolis“ Wyspiańskiego, dzieło, o którym można by sądzić, że poprzez swą koturnowość, sztuczność, patetyczność i symbolikę jest już nam obce i martwe. Grotowski uczynił świeżym. Grotowski dzieło Wyspiańskiego obtułwał z kory anachronizmów, które ją obrastały, ukazał jąrdro tego utworu, uczynił zeń utwór współczesny. Uczynił zaś to nie tylko przy pomocy wyboru tekstów Wyspiańskiego, ale przekazał tekst przy pomocy środków właściwych teatrowi. Niektórzy chcą to nazywać „czystym teatrem“, dla mnie zaś jest to teatr taki, jaki winien być, jeśli chce zachować młodość. W teatrze Grotowskiego czujemy się jak na misterium magicznym, wydaje się nam, że jesteśmy członkami jakiegoś wtajemniczenia i przeżywamy te chwile „oczyszczenia“, które następowały w teatrze greckim. Właśnie tam, do teatru greckiego, do praktyki teatru, a także do mi-

steriów magicznych trzeba sięgać, aby odrodzić teatr i dać mu możliwość nowego zwycięstwa nad takimi sztukami jak film czy telewizja.

„Naród nasz tak się we swą przeszłość weńił schodził we wszystkie grobowe piwnice, z trupami się z umarlými równieł“.

— pisał Wyspiański w jednym z swych utworów

Romantyka grobów, otwieranie krypt grobowych po to, aby rozmawiać z nieboszczykami, aby zaglądać w ich twarze i podziwając wielkość zmarłych poprzedników, próbować zrozumieć przyczynę własnej klęski — to było jakże charakterystyczną cechą naszej literatury okresu niewoli. Potem, do dawnych grobów przybyły nowe, jesteśmy chyba jedynym krajem na świecie, który Dzień Zaduszny obchodzi tak uroczysto i tak pięknie.

Tym wielkim zmarłym, mitem europejskiej kultury kazał Grotowski zejść się w obozie koncentracyjnym, aby tam jeszcze raz powtórzyć swoją tragedię. W obozach

koncentracyjnych umierali obok siebie ludzie różnych ras i różnych narodowości, nosiciele różnych kultur — uśmiercano tam nie tylko ciała, ale starano się także zabić różne wartości kulturowe. Tę właśnie międzynarodową śmierć pokazał Grotowski posługując się tekstem „Akropolis“ Wyspiańskiego. I choć z początku parodiuje, ośmiesza, drwi Grotowski ze wszystkich naszych świętości, przecież w końcu dajemy się ukolysać jego przedstawieniu, a gdy aktorzy w nieustannym stukocie swych drewnianych sandałów, budują wokół nas, widzów — oboz koncentracyjny, czujemy się coraz bardziej osaczeni. Stukot drewnianych butów, loskot młotków przybijających ogrodzenie obozu, poraża nas tak, jak poraża nas brzydota aktorów i rekwizytów, tych rur ohydnych, tych taczek uwalanych cementem, lecz wszystko to przetwarza się w nas w piękne i wzruszające przeżycie. Taka bywa bowiem przewrotność sztuki — przy-

jętno, piękno, niekiedy przemijające wstrętem. W naszej spuściźnie kulturalnej jest wiele zagadnień, które poddane muszą być owej dialektycznej metodzie ośmieszenia i apoteozy zaproponowanej przez Grotowskiego. Wydaje mi się zresztą, że sprawa jest szersza — wszelka wielka twórczość polega nie na afirmowaniu tradycji, ale na ciągłym ustosunkowaniu się do niej z coraz nową pozycją. Piszę to pod adresem naszych teatrów — więcej świeżego powietrza, śmielej zdrapywać obrosła na nich korę zlej, bo już nieprzydatnej mieszczańskiej tradycji. Więcej odwagi i zaufania do widza.

Czy teatr „13 rzędów“ akceptuje w całości i bez restrykcji?

Oczywiście, nie. Jak na mój gust za dużo w nim ekspresji, za dużo odwołania się do wrażliwości emocjonalnej, kosztem wrażliwości intelektualnej. Lecz zdążyłem poznać tylko jedno przedstawienie — „Akropolis“ — innych nie oglądałem

muszę więc ograniczyć swoje zastrzeżenia. Teatr „13 rzędów“ jest teatrem laboratoryjnym, a to co powstaje w warunkach laboratoryjnych wymaga wielu zabiegów, zanim będzie mogło być szerzej udostępnione. Wierzę zresztą, że teatr przyszłości będzie teatrem różnorodnym, ale poczesne miejsce zajmą w nim doświadczenia dokonywane w teatrze na prowincji Polski, w Opolu. Okazuje się bowiem, że nie jest ważne, gdzie się robi coś ciekawego, ale co się robi i jak to się robi. Odległość od Warszawy nie ma jednak istotnego znaczenia.

ZBIGNIEW NIENACKI

AKROPOLIS. Teatr-Laboratorium „13 rzędów“. Scenariusz teatralny do słów St. Wyspiańskiego — Jerzy Grotowski. Realizacja: Józef Szajna i Jerzy Grotowski. Aktorzy: R. Mirecka, Z. Molik, Z. Cynkutis, A. Jachłowski, R. Cieślak, M. Prus, A. Bielski.

str. 4

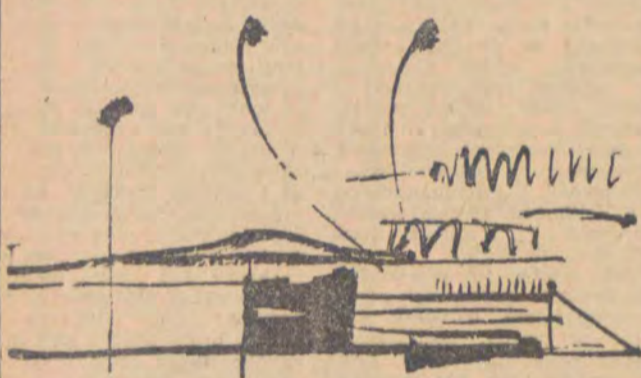
odgłosu

TADEUSZ GIERYMSKI



Każde słowo obracam w oczach
Jak Ziemię. Szukam białych plam
W dorzeczach skolonizowanych wyrazów
W deltach, gdzie czarne kleszcze raków
Trzymają gorące skały znaczeń.

Moje oczy widzą bardzo blisko,
Moje ręce młocą struchlate powietrze,
Moje doświadczenia nie odeszły daleko.
Łączy mnie z nimi długa smycza
Zakończona pustą pętlą.



MAGNEZJE

W spotkaniu
Światła i cienia,
Noża i jabłka,
Śmierci i życia.

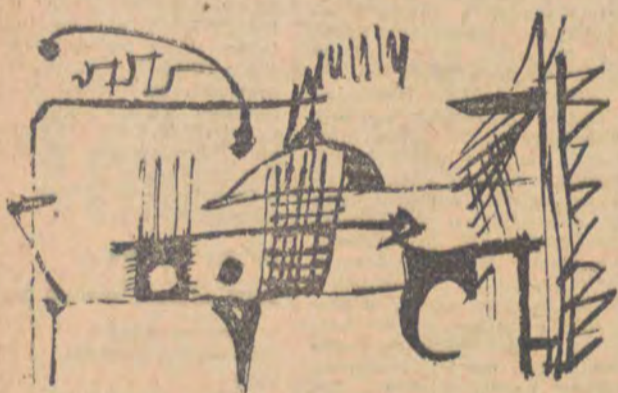
W rozstaniu, gdy noc
Tracąc równowagę upada
Na ruszty świtu.
Gdy list nie przeczytany krwawi ręce,
Gdy drzewo odcięte od ziemi przyjmuje
Ostatnią wieczerzę wysokiego powietrza i trwa
W nieupadku.
Gdy nie istniejące gwiazdy wciąż palą
Wysokie toasty.
Gdy odchodzi przyjaciel a potem powraca
Po zapomniany klucz.

Jest funkcją oddalenia:
Góra obsypana niebieskim żwirem,
Błogosławiona oczami,
Skaliście wniebowzięta,
Martwe morze, które kiedyś opuściło
Słone skrzelia piasku,
Śnieg zakwitający w słońcu,
Flowy w znikaniu.

Jak nieujarzmiona energia atomu
Pojawia się w bliskiu,
Trzaskają flaszki olśnienia,
Ruch ręki dotykającej ogień.

Wysyłam fale w eter, które nie powracają,
Otwieram żyły, które są bez krwi,
Zabijam życie, którego nie ma.

Poezja to uświadomienie konieczności.



**BUDOWA
WNĘTRZA**

Wiosną spalą dojrzałe gwiazdy.
Gmach rdzy jesiennej obrośnie mchem śniegu.
Rzeźba dotyku zgubi swoje palce. Nawet mit bólu
Szczerzenie w krzaczastych gniazdach nerwów.
Budowę własnego wnętrza zaczyna się
Od rozbiórki barw, zapachu, kształtu.
Od rozstrzelania drzew i przydrożnych kamieni
Od rozstrzelania smukłych jaskótek i Trystanów.
Od ruiny pasowych katedr i pomarańczarni.
Wyrównać swe poznanie z tym, co trwa
Poza doświadczalnym poligonem detonujących
zmysłów.

Rozehylić kwiat abstrakcji, dotknąć
Jego niedotykanej olemni.
Aż wyplaszymy się w punkt na linii
Łączącej dwa przeciwnie horyzonty.
Będziemy wdychać do płuc
Suche wersety wiatru. Wróci
Niebieski sporysz życia.

Niejednym z Was zdziwił się. Bezpieczeństwo i higiena pracy na wsi? O co chodzi? Czy w ogóle ludziom na wsi zagraża niebezpieczeństwo?

Niestety, zagraża. Oto garść przykładów. Własnych niejako, zanotowanych przeze mnie. I nie o to idzie, że zanotowanych z różnych lat.

Traktorzysta, 18-letniemu chłopakowi, Z. Zerco, ze wsi Krablew (pow. Pajęczno) agregat urwał nogę. Kaleka od szeregu miesięcy zabiega o odszkodowanie i rentę. Ścieżki do Rady Państwa, do KC... W innym znanym mi z tego powiatu wypadku, traktorzysta ratując ciągnik przed upadkiem w przepaść, poniósł śmierć. Zostawił żonę i dzieci. Renta im nie przysługiwała. „Głos Robotniczy”, akcentując pełną poświęcenia postawę traktorzysty, spowodował w drodze precedensu przyznanie zabezpieczenia rodzinie.

Inne śmiertelne wypadki traktorzystów zdarzały się w kółku rolniczym w Tuszyńcu i w jednej z wiosek powiatu brzezińskiego. Traktor zabił również synka wojewódzkiego mistrza orki, Z. B. (brak zabezpieczenia traktora na postoju). W ostatnich dniach zginął członek Kółka Rolniczego z Kamocina (pow. Piotrków). Wypadek nastąpił przy budowie zlewni mleka, wskutek braku zabezpieczenia człowieka wpadł do lasującego się wapna. We wsi Wytychów (pow. Sieradz) J. Pietrzak stracił nogi przy omlotach. Podobnie jak gospodini z pow. Wieluń, która dostała się w tryby maszyny. Żyje tylko dzięki własnemu hartowi. Pomoc przy szła bardzo późno.

W Struglicach (pow. Łowicz) elektryczny parnik zabił chłopca, w Witawie (pow. Kutno) śmiertelnemu porażeniu uległ starszy rolnik. W PGR i POM-ach zginęły 3 osoby, a 26 odniosło trwałe kalectwo.

Przy żniwach w Wiskitnie (pow. Łódź) snopowiązalka rozszarpała kobiecie rękę. W jednej z wiosek pod Sieradzem dziewczynka wypila niebezpieczny środek służący do ochrony roślin przed szkodnikami. Zginęła. We wsi Teklin (pow. Piotrków) ratując dziecko z ognia, śmierć poniosła Janina Smul ska...

Idt., itp... Z tych właśnie powodów, zabieram głos na temat Bezpieczeństwa i Higieny Pracy na wsi.

Sprawa urosła już bowiem do rangi wielkiego społecznego problemu. Objawia się ona coraz częściej tragediami i nieszczęściami ludzkimi, które w socjalnym układzie wsi, o wiele boleśniej dotykają ludzi niż w mieście. Sprawa dotyczy ma sy ludzi. Bo przecież z 1 644 tys. mieszkańców woj. łódzkiego, 1 115 tys. żyje na wsi. Oczywiście głównie z rolnictwa...

KSZTAŁT PROBLEMU

Postęp techniczny i cywilizacyjny oprócz zrozumiałych dobrodziejstw, niesie z sobą także i zagrożenie dla człowieka. Człowiek musi się chronić i bronić. Wraz z postępem w rolnictwie rośnie i na wsi potrzeba tej obrony.

A wieś nasza gwałtownie się zmienia, sięga pełną garścią po nowoczesność — technikę i chemię! Zwalazca teraz, kiedy w polityce wewnętrznej wdziliśmy wyraźne naciski na produkcję rolną. Oto liczby: w latach 1960-65 województwo nasze ma do zainwestowania w rolnictwie ponad 4 mld. zł! W tym inwestycje państwowe wyniosą przeszło 2 mld. zł. (m. in. 900 mln. zł. na meliorację, 376 mln. zł. na elektryfikację wsi, 81 mln. na rozbudowę ośrodka mechanicznego). 2 mld. 32 mln. zł. w ramach Funduszu Rozwoju Rolnictwa idzie bezpośrednio na zakup traktorów, maszyn i na inne urządzenia dla kółek rolniczych...

Te 4 mld. zł, które w biejącym 5-leciu otrzymuje łódzkie rolnictwo, nabiera ją wyrazu dopiero w porównaniu z 713 mln. zł, jakie na cele rolnicze zostały wydatkowane w minionym... 10-leciu (1950 — 1960 r.).

W 70 procentach wsi działają już kółka rolnicze, 30 proc. chłopów jest ich członkami. Majątek jakim dysponują (głównie traktory i maszyny rolnicze) przedstawia wartość 300 mln. zł! Mówię głównie o wsi „chłopskiej”, drobnotowarowej, bo to ona stanowi przeszło 95 proc. jej całości. Resztę dopiero zajmują PGR i spółdzielnie produkcyjne. Te prawde szczególnie silnie podkreślają, gdyż gra ona decydującą rolę w analizie naszego problemu.

Dosyć liczb. Dostatecznie chyba dowodzą o tempie zachodzących przemian, które mają przynieść przede wszystkim szybki wzrost środków żywnościowych. Jednak stając się o rozwój produkcji rolnej, tracimy 148 tony grzybobójczych, 137 ton środków chwastobójczych itd. W ciągu roku zastosowanie ich wzrasta o 50 proc! A są to szkodliwe, groźne dla zdrowia i życia trucizny.

Fabryki opracowują przepisy ich stosowania — zalecają odzież ochronną (kombinezony pyłoszczelne), rękawice, maski, okulary. Zakazują w czasie pracy z tymi chemikaliami jedzenia, picia, palenia. Ostrzegają przed zatruciem pożytecznych owadów (pszczół), inwentarza. Zalecają stosowanie określonych maszyn — opylaczy, rozrzutników, siwników...

W większości wypadków zostają te słuszne zresztą wskazania na papierze. Chłop „papierowe gadanie” bagatelizuje, ufając w hart swojego organizmu. A nikt tu niczego nie kontroluje, nie egzekwuje stosowania przepisów. Zresztą trudno to robić, skoro na rynku za świecą szukać owego kombinonu czy np. rozrzutnika wapna. Alarm budzą dopiero nieszczęścia, kalectwo, śmierć...

ZDZISŁAW STRZĘPEK

**NEWYGRANY
ATUT**

Chłonąc to zagrożenie, w jakim sensie ono rośnie? Aby wyciągnąć odpowiednie wnioski, trzeba wdać się szczegółowej w analizie zjawiska.

Techniczne wyposażenie rolnictwa — jak podkreślałem — rośnie, jego tempo wzmagania się. W spółdzielniach produkcyjnych, w PGR, w kółkach rolniczych, szybko przybywa agregatów, traktorów, maszyn. Wobec braku obycia, braku czegoś w rodzaju instynktu ochronnego wobec maszyn, ludzie na wsi w czasie początkowego kontaktu z techniką często ulegają wypadkom. Mała znajomość maszyn powoduje groźne następstwa dla życia ludzkiego.

ANALIZA I WNIOSKI

Na czym bliżej polega to zagrożenie, w jakim sensie ono rośnie? Aby wyciągnąć odpowiednie wnioski, trzeba wdać się szczegółowej w analizie zjawiska.

Techniczne wyposażenie rolnictwa — jak podkreślałem — rośnie, jego tempo wzmagania się. W spółdzielniach produkcyjnych, w PGR, w kółkach rolniczych, szybko przybywa agregatów, traktorów, maszyn.

Wobec braku obycia, braku czegoś w rodzaju instynktu ochronnego wobec maszyn, ludzie na wsi w czasie początkowego kontaktu z techniką często ulegają wypadkom. Mała znajomość maszyn powoduje groźne następstwa dla życia ludzkiego.

Zresztą szereg maszyn rolniczych z winy konstruktorów nie ma zabezpieczenia najbardziej groźnych mechanizmów. Wystarczy obejrzeć swobodnie hulający pas napędowy agregatu omlotowego. To tańczy śmierć...

Razący jest na wsi brak

„oświaty elektrycznej”. Ponad 150.000 gospodarstw w naszym województwie zostało po wojnie podłączonych do sieci elektrycznej. W najbliższym czasie przybędą także dziesiątki tysięcy. Prąd na wsi nie tylko daje światło — w dużej mierze służy produkcji. Jest to prąd wysokiego napięcia, szczególnie groźny dla życia. Nieprzestrzeganie zasad korzystania z tej energii (podłączanie silników, ich obsługa), przynosi tragiczne następstwa. Podobnie jak samowolne instalowanie przewodów, odbiorników prądu, rażąco nieprzestrzeganie przepisów, powoduje pożary, porażenia dzieci, kalectwa...

Szybko wkracza na wieś chemia. Stawia milowe kroki. WZGS podaje, iż w roku gospodarczym 1962/63 wieś łódzka zastępuje: ponad 70 tys. ton nawozów azotowych, 123 tys. ton fosforowych, 73 tys. ton potasowych, 45 tys. ton wapna. Znaczą — przeszło 1000 proc. tego co przed wojną! Chemia to ponadto środki o-

budynków), panuje wśród nich bałagan i masa mankamentów, których owocem są pióropusze ognia. W ub. r. w województwie wybuchło 1.270 pożarów, zginęło 18 osób w tym 6 dzieci. Straty wyniosły 38 mln zł. Ciągłe zbyt wiele uwagi poświęcamy gaszeniu, a zbyt mało... BHP! Brak przepisów, kontroli, ostrzeżeń, kar, pracy wychowawczej. Tu tkwi ponad 50 proc. przyczyn pożarów!

Rolnikom ponadto grożą choroby zawodowe, w dużej mierze od zwierząt: ischias, gruźlica, reumatyzm. Zagrożenie to potęgują brud w zagrodzie, masa much, kisa nące bajorka.

**HUMANITARYZM
— ATUT NEWYGRANY**

Ile ludzi poniosło śmierć lub ciężkie kalectwo na wsi woj. łódzkiego w 1962 r.? Nie, nie odpowiem na to pytanie, bo i mnie nikt nie odpowiedział. A zadałem sobie wiele trudu by odpowiedź uzyskać. Pytałem w Wydziale Rolnictwa Woj. RN, w Wojewódzkim Związku Kółek Rolniczych, w Oddziale Statystyki Medycznej, w Urzędzie Statystyki, w Komendzie Wojewódzkiej MO, w Wojewódzkiej Komisji Związków Zawodowych i gdzie indziej. — Nie wiemy, nie prowadzimy, nikt tego nie polecił zrobić — odpowiadano.

Ma zestawień, nie ma analiz, nie ma PRZECIWDZIAŁANIA!

Jest jednak nie rozwiązany problem! Akcentowali go wszyscy pytani. Istotnie, czas najwyższy coś zrobić. Tym bardziej że ludzie na wsi, ludzie zagrożeni — nie mają ubezpieczeń, rent, pomocy, jak w mieście. Kalectwo na wsi, to więc jeszcze gólna tragedia. Do tej pory ubezpieczeni są tylko traktorzyści Kółek Rolniczych (ostatnio) oraz niewielki procent rolników w ramach dobrowolnych ubezpieczeń od następstw wypadków.

Wprowadzenie, zwłaszcza wobec rosnącego zagrożenia, obowiązkowego ubezpieczenia wszystkich ludności rolniczej — co dyskutuje się od dawna — nie może ulegać kwestii. Wszystko jest na wsi ubezpieczone — zwierzęta, domy, zboże — wszystko prócz... ludzi!

Masowa, zawodowa organizacja chłopów staje się Kółka Rolnicze. Wydaje się, że właśnie z tej strony powinno przyjść dobrodziejstwo ubezpieczeń dla pracującego, w której większości drobnych i niebogatych przeciętnych chłopstwa. Jak? Wraz z członkostwem — ubezpieczenie. Byłby to humanitarny i bez wątplenia wielki atut kółek. Obok troski o produkcję musimy akcentować troskę o człowieka. Zresztą nigdzie tak jak na wsi, produkcja zależna jest od postawy ludzi, ich stosunku do zmian.

I bez wątpienia KR powinny zająć się całością BHP na wsi. 20 proc. z Funduszu Rozwoju Rolnictwa to znaczy 406 mln. zł w wypadku naszego województwa, mają do dyspozycji Powiatowe Związki Kółek Rolniczych. Z tych funduszy można wykroić bez trudu środki na komórki BHP, na instruktorów kontrolujących stale w terenie, na propagandę, ostrzeżenie ludzi... Oczywiście, za tym poszłaby statystyka, to by rodzilo stale dezputy pod adresem przemysłu, zaopatrzenia i całego programu profilaktyki.

A nad całą realizacją BHP na wsi mogłyby czuwać jeden z związków zawodowych, choćby Związek Rolników Rolnych lub Pracowników Spółdzielczości. W ten sposób wieś w całości zostałaby dopasowana do obecnego modelu ochrony zdrowia i życia ludzi pracy w Ludowej Polsce.

Sedno rzeczy MARIAN PIECHAL

Jaka jest różnica między kłamstwem a zmyśleniem? Taka jak między fałszywym zeznaniem w sądzie, a dowcipną anegdotą. Zarówno owo zeznanie jak i owa anegdota mogą nie zawierać w sobie ani krzyku tak zwanej prawdy realnej, a jednak będą się różniły diametralnie, mianowicie fałszywe zeznanie będzie zawsze kłamstwem, zaś anegdota nie tylko nie będzie kłamstwem, ale nawet może być prawdą w znaczeniu ogólnym czyli przenośnym. Na przykład ta o dwóch przyjaciółkach i niedźwiedziu, który jednemu z nich powiedział, że: „prawdziwych przyjaciół poznajemy w biedzie”. Anegdota oparta na zmyśleniu, a jednak nikt nie zawiera jej kłamstwem, bo zawiera prawdę — tę właśnie przenośną, niemniej jednak bardzo życiową.

Nie każde więc zmyślenie jest zaraz kłamstwem, chociaż każde kłamstwo jest zmyśleniem. Pozornie między sobą niczym się nie różnią, w istocie różni je cel, któremu służą. Zmyślenie, które służy złu, jest kłamstwem, zmyślenie, które służy dobru, jest ilustracją prawdy w znaczeniu ogólnym. Zmyślenie zmyśleniu nierówne, dopiero kwalifikacja etyczna przesądza o tym, które z nich jest przenośną, a które zwyczajnym

kłamstwem. Gdyby każde zmyślenie było kłamstwem, nie byłoby literatury. Nawet ta najbardziej realistyczna literatura posługuje się zmyśleniem, jako wyższym wyrazem prawdy. Realizm w literaturze, jak w ogóle w sztuce, nie polega przecież na su-

chym rejestrze tak zwanych nagich, to znaczy oczywistych i sprawdzonych, faktów życiowych. Nawet naturalizm nie posługuje się buchalteryjną dosłownością faktów. A cóż dopiero mówić o takich arcydziełach literatury jak „Iliada” czy „Odyseja”, „Antygona”, „Król Edyp” lub „Bracia Karamazow”. Czy zawierają prawdę życiową? Jak najbardziej, można nawet powiedzieć, że samą istotą tej prawdy, że sam najprawdziwszy ekstrakt jej życiowości — ale poprzez środki artystycznego zmyślenia. W tych arcydziełach zmyślenie ich autorów posłużyło prawdzie życia i tylko poprzez to zmyślenie prawda ta mogła być wyrażona.

Pisałem niedawno na tym

miejscu, jak to Stefan Żeromski oparł swoją „Wierną rzekę” na rzeczywistym wydarzeniu z dziejów swojej rodziny, ale jak dla oddania istotnej prawdy o Powstaniu Styczniowym posłużył się zmyśleniem przez siebie zakończeniem tego wydarzenia. W rzeczywistości ranny książę ożenił się ze szlachcianką, a w powieści opuścił ją sromotnie. Ten wyjątkowy w życiu fakt ożenku księcia ze zwykłą szlachcianką nie miał żadnego znaczenia, zaś podany

rajającej matce, dosłuchującej się trwoźnie w każdym odgłosie z zewnątrz nadechodzącej śmierci, opowiada zmyśloną bajkę o wspólnej przejażdżce sankami, że to właśnie nie dźwięk kosi śmiercionośnej słycał, lecz dzwoneczki u sanek. I matka uspokojona i szczęśliwa umiera w jego objęciach. Czy to zmyślenie Peer Gynta można nazwać kłamstwem? Kto nie pamięta tej sceny, to chyba pamięta jeden z najpiękniejszych utworów muzycznych Edwarda Griega na temat

zgodne z rzeczywistym faktem. Bo z tym rzeczywistym faktem w przypadku prawdziwego Juliana Ordona ma się sprawa tak jak z owym rzeczywistym wydarzeniem przeznaczone przez Stefana Żeromskiego w jego „Wiernej rzeki”. „Reduta Ordona” Adama Mickiewicza to jest ta ogólna, a więc najistotniejsza prawda Powstania Listopadowego. Jest jasne, że walory wychowawcze zmyślonego utworu Adama Mickiewicza nie budzą wątpliwości. Bo o cóż

wychowawczo praktycznym i pozytywnym: o bezapelacyjnym obowiązku całkowitego poświęcenia w obronie ojczyzny. Nie każdy bowiem mit jest godny potępienia — zależy czemu służy i w jakim kontekście. A że prawdziwy Ordon przypadkowo nie zginął w wysadzonej reducie, to cóż to może szkodzić utworowi literackiemu, który zakłada, że zginął, bo przecież mógł zginąć? Gdyby zginął, wtedy wszystko byłoby w porządku?

Literatura piękna traktuje nie tyle o tym, co było, ile o tym, co mogłoby być, gdyby było. Sztuka to nie fotografia. Nikt nie twierdzi, że tak było w rzeczywistości, jak jest w „Odysei”, w „Antygonie”, w „Hamlecie” i w „Don Kichocie”, lecz że tak mogłoby być. Są to propozycje czy też postulaty, które sztuka stawia przed możliwościami życia. Od nas, żywych, zależy wybór tych możliwości albo ich odrzucenie w imię możliwości jeszcze doskonalszych, bardziej ludzkich, a to nie znaczy łatwiejszych.

Jak dotychczas nikt dotąd poza literaturą piękną i sztuką takich propozycji czy postulatów przed ludzkością nie stawiał. I dlatego mitotwórcza funkcja literatury jest jej funkcją niejako przyrodzoną. Kto jej tę funkcję odbiera, tym samym pozbawia ją jej właściwego sensu. Piękne bowiem mity i legendy ludzkości czyli jej sny o samej sobie wydzwignęły ją ze stanu pierwotnej dzikości wżywyż na poziom obecnej jej kultury. Exemplo magis quam ratione vivimus.

KŁAMSTWO i ZMYŚLENIE

z dosłowną wiernością w powieści nabrałby wymowy uogólniającego kłamstwa, gdyż w dobie Powstania Styczniowego arystokracja ze zwykłą szlachtą nie miała nic wspólnego i społeczne ich interesy były nie tylko przeciwne, ale wprost wrogie. Żeromski zatem przeciwnie inaczajac ten jednostkowy fakt ożenku księcia ze szlachcianką w konflikt między nimi czyli zmyślając coś wręcz przeciwnego do rzeczywistości, nie tylko nie skłamał, lecz właśnie powiedział prawdę — tę przenośną czyli ogólną.

Jest przepiękna, wzruszająca do łez, scena śmierci matki Aazy w dramacie „Peer Gynt” Henryka Ibsena. Ten właśnie Peer umle-

tej sceny.

Takimi właśnie rodzajami zmyślenia posługuje się literatura piękna i w ogóle sztuka godna swej nazwy. Dlatego nie mają racji ci, którzy twierdzą że w życiu, a zwłaszcza w wychowaniu młodzieży, nie potrzebne są nam zmyślenia czyli mity. Znaczyłoby to bowiem, że niepotrzebna jest nam literatura piękna i w ogóle sztuka. Owszem, należy zwalczać zmyślenia i mity, ale tylko takie, które są kłamstwem i oczywistą bzdurą, jak na przykład ataki ulanów polskich na czołgi niemieckie w ostatniej wojnie itp. Ale Mickiewiczowskie zmyślenia o „Reducie Ordona” nie należy zwalczać, choć nie jest ono

w nim chodzi? O prosty żołnierski obowiązek. Skoro nie można tak, jak opiewa rozkaz, obronić powierzzonej sobie reduty, należy ją opuścić w stanie najmniej dla wroga korzystnym, a więc „nie oddać mu prochów” czyli nie mogąc ich zabrać ze sobą wysadzić je w powietrze. I to w momencie dla wroga jak najbardziej szkodliwym czyli gdy na ową redutę z prochami już „lazi, jak robactwo na świeżego trupa”. Tak chyba według regulaminów postępowania taktycznego powinien uczynić każdy z żołnierzy nie tylko w minionej, ale i w przyszłej — nie daj Boże — wojnie. Zmyślenie Mickiewicza o „Reducie Ordona” jest narodowym mitem

TADEUSZ PAPIER

NIECH NIKT NIE REZYGNUJE czyli O BARDZO CIEKAWEJ KSIĄŻCE

O „Wizerunku otwartym” Wandy Karczewskiej. Ciekawej nie tylko w znaczeniu potoczny, w jej warstwie fabularnej, Karczewska tak komponuje powieść, że opisywane fakty i wydarzenia układają się w tok niezwykle zajmującej narracji; odcierwad się od tego opowiadania nie sposób. Ale powtarzam: książka jest ciekawa nie tylko fabularnie. Ciekawa jest w swoim założeniu, w swojej filozofii. Warstwa fabularna powieści zawiera głęboki podtekst. Ten podtekst znajdujemy nie tylko w wydarzeniach, nie tylko w zaprawionej subtelną ironią opowieści Pawła Sikory, Męczennika. Karczewska ukazuje nam gotową projekcję (powiedzmy: bardzo dobrą projekcję) i razem z nami przysłuchuje się spowiedzi Pawła Męczennika. Oglądamy dzieje bohatera, śledzimy jego myśli i uczucia, przede wszystkim śledzimy jego rozwój i dopowiadamy swój komentarz. Tego komentarza nie ma w książce. Ten komentarz towarzyszy tekstowi, jest poza tekstem i jest jednocześnie częścią artystycznej kompozycji.

Paweł Sikora powiada, że chciał zrekonstruować historię rozwoju swej osobowości. „Ja tu przyszedłem — powiada — poskładać wszystkie przypadki mojego żywota, albowiem osiągnąłem tę granicę, kiedy to człowiek tak jak ja — jeśli

chce znaleźć jeszcze swoje miejsce w swoim czasie, musi świadomie zanurzyć się w rozedrganej materii ożywionej przeszłości...” Czy Paweł odnalazł proch, z którego powstał, i w który się obrócił? On tam, przed trzydziestu laty, rodził się (ten Paweł Męczennik) w kraju, który jest, i którego nie ma, który jest metaforą, w tej metropolii kozińskiej, pośród smrodu małego miasteczka, woni kwaśnych ogórków, kiszzonej kapusty, pośród nieczystości Krzywego Zaułka, u boku Zielononóżki, matki-płaka, matki-sarny, czarownicy i oczajduzki, u boku dziadka Sikory, Małgorzaty, Fryderyka, „zgrał ancykrystów”, bezrobotnych. A więc rzecz idzie o filozofię narodzin człowieka, lepienia go z surowej gliny rękami matki, dziadka, sąsiadów, nieobecnego ojca, o rolę konwencji społecznych. Jakim jest ten człowiek, który w tym mieście swojego dzieciństwa szuka zasad moralnych i któremu najpierw chodziło o protest przeciwko fałszywym praktykom, a potem „o protest przeciwko brakowi protestu”, który ustawicznie szuka stałych wartości Norm i Mierników Ludzkiego Działania. Gdzie szukać tych „trwałych wartości”? Czy poza niepokojącym zgiełkiem „Krzywego Zaułka?”

To nie jest obraz buntu, ani oczyszczania się z „grze-

chów”, ani lekcja moralności. To jest konieczność psychologiczna każdego człowieka zobaczenia się we własnym lustrze. Kogo czyni Paweł sędzią swojego życia, kogo nim czyni czytelnik oglądając ilustrację wielorakich współzależności zjawisk społecznych, narodziny nowych kryteriów obyczajowych, moralnych? Kim jest Paweł, udręczony męczącą niemożliwością określenia własnej osobowości, jak należało mu żyć? Więc co, nie ma odpowiedzi „na to największe z ludzkich pytań”? Są — tylko... niech każdy szuka ich dla siebie na własną rękę. Niech nikt nie rezygnuje ze znalezienia swego miejsca w swoim czasie.

„Tej kopki siana, przy której ja, Paweł Sikora, położyłem się pewnej nocy na wznak, na krótko skoszzonej trawie — nie ma i nigdy nie było... Nie było też nigdy żadnego Fryderyka, Małgorzaty czy Maa Zielononóżki...” „Nie ma więc nas” — powiada ironicznie bohater, ale uwierzmy w ich istnienie i dziadka Sikory i Pawła Męczennika, i Maa Zielononóżki, zrodzonych gdzieś w Kozinach, a może gdzieś indziej, narysowanych w pięknej i czystej polszczyźnie, wierzmy ich otwartym wizerunkom.

Wanda Karczewska. „Wizerunek otwarty”. Czytelnik, str. 224, cena zł 15.



Dawny pałac Leonarda zamykający oś ul. Piotrkowskiej.

Foto — S. PYSZEL

ZDZISŁAW KONICKI

GADKI ŁÓDZKIE

Do mało znanej gadki łódzkiej należy i ta, którą usłyszałem od starej tkaczki pani Majowej, ongi robotnicy firmy Leonharda z Placu Niepodległości. „Stary Leonard, zakapturzony Niemiec, jak o nim wyrażali się robotnicy, prawie wcale nie umiał mówić po polsku. Bo to i trudny język, no i wcale mu to nie było potrzebne — jak mówi tkaczka Majowa. Umiał po polsku tylko dwa słowa i jeszcze je świadomie czy nieświadomie przekręcał „den dopse” — co miało znaczyć „dzień dobry”. No bo tak: majstrowie, obermajstrzy fabryczni — Niemcy, inżynierowie Niemcy — buchalteria — czyli pisarszykowie — też folksdeutsche... po co mu było uczyć się naszego języka? Jadł

więc nasz polski chleb i jeździł po łódzkim bruku — za darmo. Budował też swe fabryki i pałace z pożyczek Banku Polskiego, z pożyczek których nigdy nie spłacił. Licytowano go nawet, ale jakoś się zawsze wykroczył. Brał nowe pożyczki na spłatę starych pożyczek! Tak trwał do momentu, kiedy zaczął się i w jego fabryce strajki i demonstracje. Wtedy to chciał swym własnym głosem, własnym sprzeciwem podzielać na „rozgorączkowanych Polaków” — jak mawiał. No tak, ale nie umiał po polsku... Postanowił więc nauczyć się choć jednego zdania w tym języku swych robotników i w momencie, kiedy wybuchnie strajk — wyjść na trybunę i przemówić do tkaczy swej fabryki. Uczyl

się, miesiącami tego jednego zdania. Ciężko mu szło, chociaż złotówki polskie leciały mu łatwo i szybko do kieszeni... Otóż uczył się taklego hasła fabrykanckiego: „Jak będziecie pracować, tak ja będę wam płacił...” Nauczył się wreszcie tego trudnego zdania, ale niestety, jak przyszło mu je zastosować w praktyce, pomylił się i z zaimprovizowanej trybuny padło przekrecone zdanie: „Jak ja będzie wam płacił, tak wy pracować...” — „Jak płacić, tak robić” — powtórzył jeszcze w ferworze z trybuny! Robotnikom wiele nie było trzeba, na taką słuszną propozycję odezwwały się głosy przytakiwania i nawet oklaski... Dopiero, co usłużniejsz majstrowie przetłumaczył mu, że się pomylił i stanął po drugiej stronie barykady. Rozłościł się, ale ujęty ponoc fabrykanckim honorem — kazał robotnikom wypłacić zarobki mimo że już kilka dni strajkowali. Przecież oklaski dostał, a za oklaski też „będzie musiał płacić”...

Twarze łódzkich kobiet

Chyba w żadnym z miast w Polsce sytuacja kobiet nie była tak skomplikowana, tak złożona jak w tym mieście przezwanym „ziemią obiecaną”. Niskie płace w fabrykach włókienniczych, a przede wszystkim — niestanna groźba bezrobocia, sprawiały, że tuż za mężem stawała przy maszynie żona, za matką — córka. I dzisiaj, mimo że wiele zmieniło się na lepsze, nie zawsze można podjąć wszystkim kłopotom. W Łodzi notujemy najwyższy w kraju odsetek pracujących kobiet w stosunku do ogółu zatrudnienia.

W Łodzi na każdego 100 mężczyzn w wieku zdolności do pracy pracuje zawodowo aż 70 kobiet, w Warszawie — tylko 62, w Krakowie — 50, Poznaniu i Wrocławiu — 48 kobiet.

Pęd kobiety w Łodzi do pracy zawodowej, do usamodzielnienia się, sprawił, że w samym przemyśle (włókno, metal i inne) kobiet pracuje aż 51 proc., gdy przeciętna w kraju wynosi 31 proc. Pamiętajmy, że do tego — właśnie przemyśle poszło w Łodzi aż 66 proc. wszystkich pracujących kobiet (w

Warszawie — 54, Krakowie i Poznaniu — 47 proc.). Dodajmy jeszcze — co jest fenomenem w skali kraju — że 80 proc. wszystkich kobiet pracujących w przemyśle włókienniczym, to kobiety pracujące na dwie lub trzy zmiany, że tylko na nocnej zmianie pracuje w naszym mieście aż 20 tys. kobiet...

JEDNA TWARZ

Ta liczba 20 tysięcy zasługuje na szczególną uwagę. W roczniku statystycznym „kobieta” znalazła się w skrówie alfabetycznym między „klinkierem” a „koksem”, w życiu zaś jej miejsce jest między zmianą w fabryce a kolejką w sklepie i urzędzie. Może dojdzie i do tego, że roczniki wykazywać będą ilość utraconego przez kobietę czasu, czasu wyrwanego odpoczynkowi czy kulturze. Bo ten czas zabrany kobiecie łódzkiej na pracę zawodową i pranie, na zmiany fabryczne i kolejki sklepowe wynosi, licząc skromnie, około 14 godzin...

„PRZY MĘŻU”...

Jeśli tyle kobiet jest czynnych zawodowo, to zdawałoby się — instytucja kobiety „przy mężu” w Łodzi już się nie liczy. Okazuje się jednak, że pęd do samodzielności i pracy zawodowej to jedna sprawa, a przekonanie, że małżeństwo ułatwi kobiecie wszystkie problemy życiowe — to druga. Co gorsze — małżeństwa i powojenne w wielu wypadkach stanowią dowód, że także w naszym mieście wiele kobiet dało się uwieść złudnemu mieszczańskiemu mirażowi. Te kobiety za jedyną cel godny ambicji uważają sam fakt wyjścia za mąż, zdolne są nawet przerwać naukę w szkole, czy studia, byle tylko nie przezapłacić okazji do zmiany statusu cywilnego. A potem zbierają owoce swego zaślepienia. Gdy odejście męża — szukają rady i pomocy w Lidze Kobiet i w wydziałach Opieki Społecznej:

— mam kilkumiesięczne dziecko, mąż odszedł ode mnie, co mam robić teraz, jestem bez środków do życia, a ten łobuz nic mi jeszcze nie dał na utrzymanie dziecka (z podania, które wpłynęło do Ligi Kobiet).

— mam iść na kurs, mogę pójść, ale jestem słaba i chora i tak nie będę mogła pracować... (z rozmowy w tejże Lidze).

— 36-letnia kobieta — mężatka z początkami gruźlicy, znalazła się nagle sama bez środków do życia, ale za to z trójgiem dzieci. Mąż odszedł, a ona nie wie czego się jąc, bo nie umie, nie nie potrafi...

— 39-letnia kobieta „przy mężu” skarży się, że od kilku miesięcy jej mąż, krawiec z zawodu, przestał dawać na utrzymanie dziecka i w domu czai się głód...

Większość tych kobiet płaci wysokie kary za swą lekkożytność. Uległy czarowi „złotego pierścionka”

(tego z piosenki) zaniedbały naukę zawodu i wykształcenie, a teraz przychodzą po radę i pomoc, po paczki odzieżowe i zapomogi do opieki społecznej.

WIEDZY O KOBIECIE BRAK...

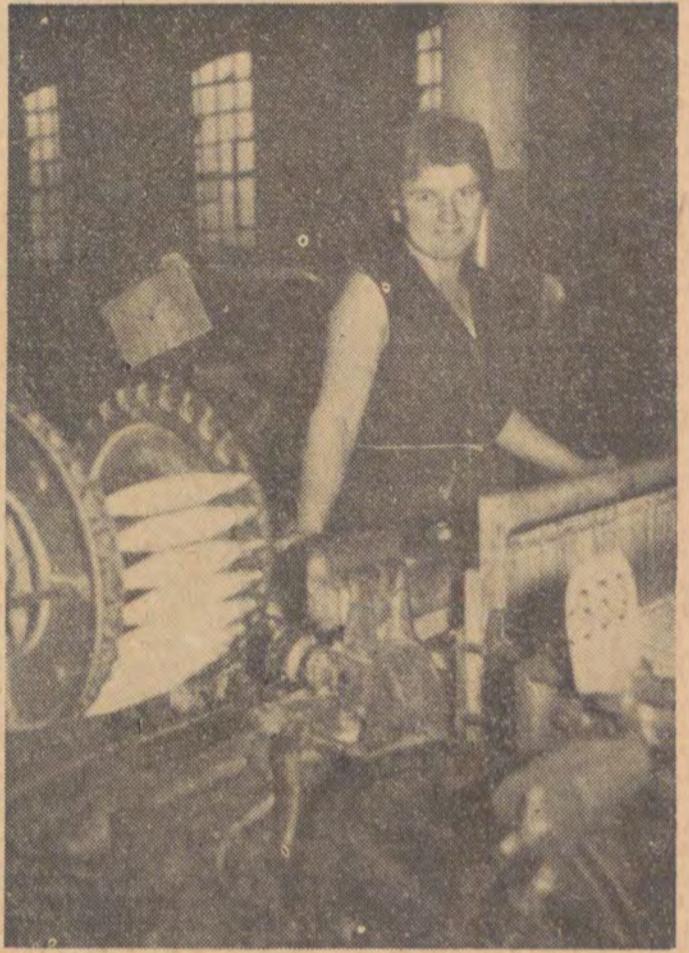
Sprawa życiowego usamodzielnienia się kobiety nie jest prosta. W Łodzi aż 7.000 kobiet nie posiada podstawowego wykształcenia. Mówimy tylko o kobietach, które już pracują i które nie przekroczyły 35 roku życia. Kobiet czekających na pracę i nie posiadających 7 klas ogólniaka (tych ujawnionych przez urząd zatrudnienia i tych, które się nie rejestrują jeszcze) jest również kilka tysięcy.

Gdy zbierałem materiał do tego artykułu, zdziwił mnie w Lidze Kobiet brak danych dotyczących sytuacji kobiet w Łodzi. A przecież jest to instytucja powołana również do tego, by zgromadzić u siebie cały ten ciekawy materiał. Chyba czas najwyższy stworzyć sobie pełny obraz sytuacji, w jakiej znajduje się kobieta — czas zwłaszcza w instytucji stworzonej specjalnie dla niej.

KOBIETA-DYREKTOR

Kobiet pracujących na kierowniczych stanowiskach mamy w Łodzi obecnie 330, a pracującą one w 201 łódzkich zakładach. Wymieńmy niektóre z nich:

- dyr. Franciszka Kierska — MHD Śródmieście,
 - dyr. Zofia Malinowska — Przedsiębiorstwo „Bazary”,
 - dyr. Mirosława Wąsowicz — inżynier, kieruje działem technicznym fabryki, duży staż pracy zawodowej — L. Z. Wyrobów Gumowych,
 - dyr. Suska-Jankowska, przewodnicząca ZŁ Ligi Kobiet — dyrektor handlowy w ZPW im. Barlickiego,
 - dyr. Barbara Przybyłowska — L. Z. Przemysłu Dziełarskiego,
 - dyr. Irena Piwowarska — Zakłady Pończosznicze „Feniks”,
 - dyr. Janina Kalinowska — ZPB im. Rewolucji 1905 r.
- Nie starczy nam miejsca na wymienienie wszystkich

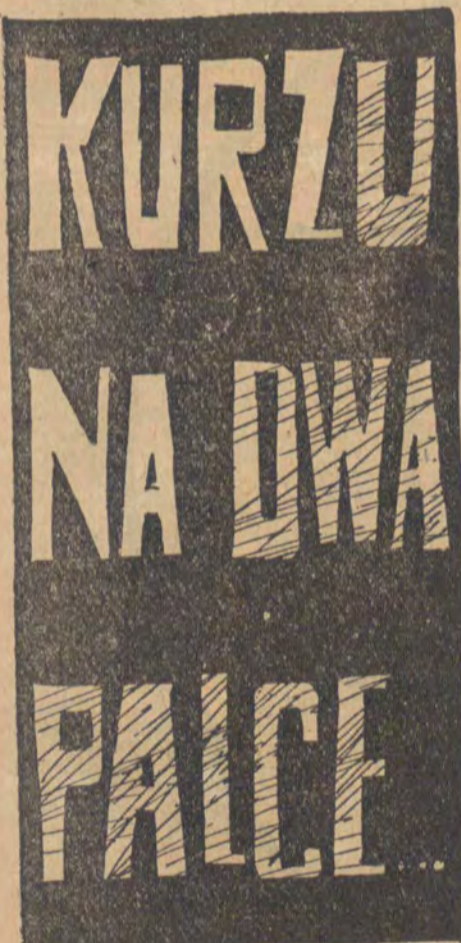


łódzki... kobiet, które wybiły się własną pracą, mądrością życiową i zdolnościami. Zauważmy jednak: w odczuciu społecznym kobieta-dyrektor to tytuł godny pozazdrośnienia, może szyć marzeń, czy ambicji każdej kobiety. W rzeczywistości, w życiu tych kobiet-dyrektorów i kobiet-kierowniców, sprawa wygląda nieco inaczej. Obowiązki związane ze stanowiskiem i poczucie odpowiedzialności (a kobiety, jak mówią, mają tego poczucia odpowiedzialności na stanowisku dyrektorskim

nawet więcej niż mężczyźni!) sprawiają, że tylko w nielicznych wypadkach udaje się pogodzić fabrykę z domem. Wiele z nich pracuje po 12 godzin i więcej, wiele z nich nie istnieje w praktyce dla tego zespołu obowiązków i zadań, który nazywamy domem, czy gospodarstwem domowym.

Dalszy ciąg
na str. 10

WŁÓDZIMIERZ KRZEMIŃSKI



Fragment powieści pt. „INICJATYWA na ODCINKU”

Wiesz, wydaje mi się czasem, że świat dlatego pięknieje w towarzystwie kobiet, że przestaje się wówczas roztrząsać tematy zawodowe. Nie udało mi się nigdy podслуchać rozmowy samych kobiet, spokojnych, że nie są słyszane. Owszem, chwytalem nieraz krótkie fragmenty, ale pewnie i rozmówczyńe zdawały sobie wówczas sprawę, że brak

mężczyzn jest tylko chwilowy, że — powiedzmy — opuścilem je na moment i zaraz wrócę i trzeba zachować specjalną twarz choćby dla mnie, ze względu na mnie. Te momenty wykorzystywałeś — wy, to nie znaczy, że i ty tam byłaś, Szypułko, to znaczy tylko tyle, że mówię teraz o całym waszym, excusez le mot, gatunku — otóż wykorzystywa-

wałeś na ogół na szybkie draśnięcie spraw, które należą chyba nazwać intymnymi. Gdybym mógł czasem z tobą rozmawiać jak z przyjaciелеm rodzaju żeńskiego, może by się coś wyjaśniło. Przyjaciel jest jednak słowem męskiego rodzaju: niełatwo wojować z gramatyką (jeśli się w tym miejscu uśmiechnąłem, to na mój prywatny użytek i ani ty, ani nikt inny nie wiedziałby, dlaczego się śmieję). Ile razy na jakimś zebraniu czy konferencji zabierała głos niewiasta, podejrzewałem, że jej (i moja) koleżanka, siedząca obok, myśli sobie w tej chwili: taka mądra, a sułdenkę ma źle uszyta, albo kolor bucików nie dobrany, albo szew się w pończosze przekrzywił, albo że przecież wczoraj jej mąż był w kawiarni z jakąś młodą dziewczyną.

My inaczej. Możemy pracować dziesięć lat w jednym pokoju, być ze sobą po kilkanaście godzin dziennie, i nie wiedzieć nic o sobie po drugiej stronie rampy. Nie wiem przecież, czy pan Henio — najsumienniejszy z moich planistów — ma córkę czy synów, tyle wiem, że coś ma, bo z mojego aparatu pytał kiedyś żonę, czy dzieci same w domu. Nato miast wciąż niepotrzebnie pamiętałem, że to właśnie pan Henio pomylił się o jedno zero w jakimś tam zakazanym arkuszu i wynikała z tego w jednym z naszych zakładów produkcja, z której od dwóch lat nie wiadomo co zrobić. Miechy stożkowe. Co to są miechy stożkowe? Kiedy Kozub wyciągnął tę sprawę i mówił, że miechy mu zaśmiecają reżymanent i żeby je rozmonto-

wać na odpad, przyjrzałem się rysunkom. Powielone na wyświetlacze kółka i prostokąty, nie poza tym. Przyjąłem z powrotem do zamówienia, opiewało na tysiąc, zrobiło się dziesięć tysięcy.

Ale pan naczelnik sam wtedy wziął mi z ręki maszynopis zlecenia zanim zdążyłem sprawdzić, bo było po trzeciej i wszyscy się spleśzyli — tłumaczył się nieśmiało pan Henio. — Ale pan zapewniał, że sprawdzone — mówiłem. — Nie, nie zapewniałem. — To dlaczego w zakładzie nie sprawdzili? Od razu widać błąd jak się porówna z zużyciem. — Ale to zużycie dotyczy materiałów niebilansowanych, więc u nas tego nie ma... i tak dalej. Takie rzeczy to się psiać pamięta!

Chciałem się przed tobą wytłumaczyć z mojego zawodowego garbu — może to on odkształcił cień, za którym kiedyś odwróciłaś, idąc, źle uczesaną głowę. Chciałem powiedzieć, że kimkolwiek by twój towarzysz życia nie był, byłby przecież mężczyzną i jakis tam garb z latami by mu wyrósł. Ba, ale czy można mówić o zawodzie urzędnika tak, jak o innych, to znaczy uważać go za umiejętność jednostronną, wymagającą coraz większej sprawności niektórych, szczególnych organów i możliwości osobnika? Fryzjerzy mają płaskie stopy i żylaki, muzyk zamienia się cały w ucho i kamerton. A my? Któż to mogą wrodzoną możliwość rozwija i uczuła praca urzędnika? Gdybym mógł odpowiedzieć sobie precyzyjnie na to pytanie, wiedziałbym lepiej co mnie dzieli od cie-

bie i może wspólnie znaleźć libyśmy jakieś antidotum.

Parę dni temu spotkałem na Piotrkowskiej dyrektora. Akurat zapaliło się czerwone światło i musiałem przystanąć, a on znalazł się tuż obok i nie sposób było nie zagadać. Naturalnie — że ciepło i że chyba będzie deszcz. — A ja tu idę w stronę placu, a pan?

Niestety, siedłem też w stronę placu. Pokazywałeś mi sobie wystawę, coś bez przekonania mówił, same oczywiste rzeczy, tak oczywiste, że aż wstyd było przytakiwać, a negocjować — choćby dla stworzenia pozorów rozmowy — niemożliwe. Zostawało tylko głupie słowo: właśnie, po którym na dobrą sprawę kończy się każdy wątek.

Myślałem, że i dyrektor czuje przymusowość sytuacji, mężczyźni to nawet, tymczasem on zaproponował małą czarną w „Łódziance”. Ponieważ zdradziłem się już wcześniej, że do nikąd mi nie pilno, (mając nadzieję, że pilno dyrektorowi, takim przecież zawsze powinno być pilno), — nie mogłem się wymówić. Naturalnie, w stu tysiącach humoresek, jakie nasi satyrycy piszą na temat urzędników i biurokracji, taki typ jak ja ze skóry by wylazł z radości, że idzie z dyrektorem na kawę. Nie wiem dlaczego przeświadczenie takie tkwi w satyrykach nieodmienne i niewzruszone jak aksjomat, na którym budoje się całe rusztowanie łatwiotkich konceptów po pięć złotych od wiersza. Miałem jednak czkawkę i nie pasowałem do stu tysięcy humoresek. Drżąc chwilę wprawdzie zaczynało się przejaś-

nić, pani Zuzia mnie poznała, kawa była nieźla, zagaił się o kinie. Ale już po paru minutach dyrektor zabębnił po marmurowym blacie stolika: — Wie pan, nie wiem czy ta ostatnia korekta była słuszną. Nie zdążyłem z rozruchem — czuć, garb wylazł spod ciemnoszarej, uniwersalnej marynarki, kawa straciła smak, wyraźnie żyły na dionach pani Zuzi, gdy sięgała po drobne do kieszeni w małym fartuszku, przypomniały, że to już przeszło dziesięć lat, jak tu przychodziłem bez obrączki na palcu i udawałem, że wierzę w całą wojenną historię dystygnowanej kelnerki z wyższych sfer.

Mówiliśmy więc o spóźnionym rozruchu i szlag mnie trafiał, że się tym przejąć nie mogę. Dużo ładnych dziewczyn, dużo krzyżujących się napięć, zagrań, spojrzeń — czułem to przez skórę, siedziałem jak kryształ w detektorze, gdyby ktoś znał igiełką właściwe miejsce — rozegrałbym się chyba, jak koncert reklamowy.

— Nie zdążymy z tym rozruchem i kredyty przepadną, wykonywamy bank na karku, klapa.

Dalszy ciąg
na str. 10

odgłosy str. 9

Twarze łódzkich kobiet

ŁÓDŹ
W JAKIEJ
ZYJEMY

Dalszy ciąg
ze str. 9

Niektóre z nich zdają sobie sprawę z tego, że w praktyce właściwie trzeba by wybrać: albo żona i matka, albo dyrektor. Nie dziwnym się więc, że mamy w Łodzi tylko 330 kobiet na kierowniczych stanowiskach. Wiele kobiet po studiach, wysoko wykwalifikowanych specjalistów, wcale nie ciągnie do stanowiska dyrektora.

KOBIETY SŁABE

Kilka zdań o tych z „Grandki” czy z „Warszawianki”, często oszukanych przez życie i często oszukujących siebie. Niektóre przychodzą do Ligi Kobiet, czy opiekunki społecznej w dzielnicowej radzie i proszą, by im pomógł. Pomoc bardzo często jest bezwzględna: na początek zapomoga, czy nawet paczka odzieżowa a zaraz potem praca. Ale już po trzech dniach, czasem naza-



jutrz, okazuje się, że siły w kobiecie poszukującej pomocnej ręki były niewielkie, że starczyło ich tylko na manifestację, na krzyk. Więc po tym przeblasku dobrej woli czy kruchoj nadziei

znów je widać w „Grandce” i „Warszawiance”, znów szukają łatwych pieniędzy w „Casanovie” czy choćby w ciemnej bramie na Piotrkowskiej.

Podobne do nich twarze, zniszczone i blade mają kobiety ugodzone przez los, które na dno nędzy zepchnęła czasami ludzka obojętność, czy też wódka. Z pewnej statystyki wynika, że na 168 skierowań do poradni przeciwalkoholowych, do leczenia ambulatoryjnego czy w zakładach zamkniętych aż 24 wypadki spowodowane zostały alkoholizmem.

Alkoholizm, to spłot nieśczęść w życiu osobistym i nieśczęść w szerszym znaczeniu społecznym. Jak wykazuje praktyka łódzkich opiekunów społecznych, wódka często doprowadza kobiety do nierzędu. Oto część łódzkiej prawdy o kobiecie-alkoholiczce:

— ulica Włocławskiego, mąż odszedł od żony, więc żona teraz pije na umór, choć dobrze poinformowani twierdzą, że mąż odszedł właśnie dlatego, że żona nie chciała przestać nałogowo pić, zostało z nią troje dzieci, była na odwykowym leczeniu w Kochanówce, opiekunka odwoziła dzieci do babci na wieś, gdy wróciła pije znowu, sprowadza mężczyzn, niektórych odwiedza. A dzieci (od 12 do 16 lat) znają prawdę o swej matce i nawet ją kryją. Na pytanie: „gdzie mama?” — odpowiadają: „w pracy” — choć wiedzą, że mama nie wróciła jeszcze z całonocnej lumpki...

— Na Polesiu jest alkoholiczka, której mąż właśnie siedzi, w domu dwoje dzieci. Gdy trzećcie było „w drodze”, zwróciła się do opiekunki społecznej po zapomogę. Do stała ją, a teraz na nowo pije. Wehodzę do niej — opowiadała mi opiekunka społeczna — i co widzę: dzieci płaczą, patefon gra

cały regulator, dwóch zapitych mężczyzn przy stole, a jej nie ma, bo wódki było za mało w ciągu nocy, więc wyskoczyła na róg po nowy litr. Gdy potem weszła obrzuciła mnie od progu ordynarnymi wyzwiskami: „Co się tu pani pcha na chłama?” Jedno z dzieci dostało zapalenia płuc, umieściłam je w szpitalu, ale jednocześnie wystąpiłam do sądu o pozbawienie tej kobiety praw rodzicielskich. — Siekierą łeb rozwałę, a dziecka nie oddam! — pogroziła mi po wyroku.

— Niemal ślepe dziecko zabrałam z domu pijaków, ani ojciec ani matka nie ruszyli nawet palcem, by mi pomóc. Matka trzymała swe dziecko pod koldrą, gdy je spod niej wydobyłam, zasłaniało się przed światłem i ludźmi. Umieściłam dziecko

w szpitalu, teraz powoli dochodzi do zdrowia. I niech pan powie: karze się furmana za to, że koń ma bok otarty, a dlaczego nie karze się rodziców, którzy swym okrucieństwem i obojętnością doprowadzają zdrowie swych dzieci do ruiny?

KOBIETY SZLACHETNE

Z koleżki o kobietach dzielnych. Właściwie tym kobietom należałoby się osobna rozprawa. Kobiety-opiekunki społeczne, poświęcają cały swój wolny czas, wydeptują małe i ciemne jeszcze uliczki Widzewa i Polesia, Bałut i Chojeń w poszukiwaniu ludzi słabych i czekających na pomoc. Kobiety te w swej trudnej pracy spotykają się często i z ludzką niewdzięcznością i niedocenianiem.



USŁUGI JUBILERSKIE

NAPRAWA I WYRÓB BIŻUTERII
Z POWIERZONEGO SREBRA I ZŁOTA

W PUNKTACH USŁUGOWYCH:

- ul. Piotrkowska 66 i 126
- „ Narutowicza 18
- „ Obr. Stalingradu 7 oraz
- „ Obrońców Stalingradu 47 — WYŁĄCZNIE

NAPRAWY JUBILERSKIE

poleca

SPÓŁDZIELNIA PRACY „PRECYZJA” W ŁODZI
gwarantując fachowe — terminowe i solidne wykonanie

JUBILERSKIE PUNKTY USŁUGOWE CZYNNE W GODZ. 9—18
691-4

Dalszy ciąg
ze str. 9

Co ze mnie za działacz gospodarczy, kiedy te słowa ledwie bzykają gdzieś obce i nie moje? Stop, Szypulko. Właśnie, że przyjdzie moment, kiedy z najdalszych kątów świadomości wylazą wszystkie sprawy, problemy, portfele, banki, kredyty, milion cyfr ułożonych w tabliczki z główką i boczkiem znacznie swój obsesyjny szmer — wiesz, co to są szmerzące cyfry? Wejść do działu planowania w dniu, kiedy kończy się korekta planu. Tuzin błyszczących od łojotoku twarzy, tuzin par błędnych oczu na dzień dobry i ze wszystkich stron poruszające się cichutko wargi: siedem trzy dziesięćdziesiąt sto koma raz, dwanaście trzy cztery, zero zero koma siedem — trzask, trzask, wrrrrr (elektryczny multiplikator) trzask, szept, szept: w maleńkiej krataczce nowa liczba. A za tymi wszystkimi cyframi i pod nimi i w nich samych jest jeszcze podtekst, drugi smak — odpowiedzialność. Nie bardzo umiem ci to wytłumaczyć. Strach przed karą? Trochę, ale to tylko mała cząstka prawdy. Taki strach to całkiem konkretna rzecz i znam ją, jak wiesz, skądinąd, ale o tym za chwilę. Przepraszam, że nie o rzeczach sprawdza-

nych. Tę kartkę znajdziesz w drugim tomie Ekonomii, więc nieprędko, a może nigdy. Jeszcze tylko trochę pohlum.

A więc — na pewno strach. Przed śmiesznością, przed ujawnieniem własnych słabych miejsc, własnej omylności. Paniczny lęk, że może błysnąć nagle światło, w którym okaże się, że ambicje przerosły nas, pobiegły daleko w przód, nie dogonimy, psu na budę, za głupsiśmy, jak teraz wyglądamy? Nie udało się to, czego nie tylko wymagaliśmy od siebie sami, ale czego mieli prawo wymagać inni. Wstyd. O właśnie — to lepsze słowo niż strach: wstyd. A jeszcze lepiej: strach przed wstydem.

Otóż w kawiarni siedzą ładne dziewczyny i brzydki dyrektor, którego nie opuścił strach przed wstydem i który żąda od całego świata odsieczy. A mnie nie chciało się ani za grosz przejąć tematem, czułem przecież do czego zmierza mój rozmówca: żebym uświadomił sobie i uznał swój udział w błędzie, żebym w ten sposób odciążył dyrektorskie zmartwienie. Figę, myślałem sobie. Trzeba mnie było nie zastrzymywać na ulicy i nie maskować się wystawami, kinem, kawusią. Jestem prywatnym przechodniem po godzinach służbowych, słyssał może pan dyrektor ten kawał o rozbitku na bezludnej wyspie...

Kawały mogą czasem zastąpić rozmowę. Ale potem byliśmy razem, Szypulko, i pytałaś czy mi smakuja młode rzodkiewki — mój ulubiony przysmak, a ja z przerażeniem stwierdziłem, że nie wiem, i mówiłaś, że trzeba

będzie powtórzyć badanie moczu dziecka — psiałość, nie mogłem się tym przejąć! Nie mogłem, bo być może dyrektor miał rację: ta ostatnia korekta nie była w stu procentach uzasadniona. Trzeba będzie to zrewidować, a szczególnie zwrócić uwagę, czy są wszelkie podkładki świadczące o dobrej woli pana Henia, pani Izzy, mojej, dyrektora, czy nikt nigdzie nie pomylił się o jedno zero.

— Wcale nie słuchasz tego, co mówię! — powiedziałaś z wyrzutem. — Nigdy nie słuchasz, a tu analiza nie była dobra, była tak zła, że chcę sprawdzić, czy to nie pomyłka...

Co ze mnie za ojciec rodziny, myślałem wtedy z przerażeniem, kiedy te słowa nie znieczulają mnie na wszystko inne, nie wymazują natychmiast całego strachu przed wstydem, całej pajęczyny szmerzących cyfr?

— To na pewno pomyłka, Madzia nie wygląda wcale na chorą — powiedziała jedna moja połówka w imieniu obydwóch. Rzeczywiście, to była pomyłka, ale mogła nie być.

Szukałaś odsieczy, szkoda, że taka z góry nastroszona. Wszyscy ciągle szukają, są szybsi ode mnie, zanim zgłoszę swoje pretensje już mam na karku багаż cudzych. Nawet z tego, że plażę te kartki, tłumaczę się co chwilę, włączam tym samym machnięciem ręki: nikt mnie nie przeczyta, albo zrobi to z takim przesuńnięciem w czasie, że będę już inny, gdzie indziej.

Nie było chwili sposobnej, żeby powiedzieć — tobie, bo nikomu innemu nie wolno — że panna Tosia znalazła już akta, potrzebne

inspektorom. Może nie wszystkie. Kierownik hurtowni w Rzeszowie był już przesłuchiwany, na szczęście to jest inny kierownik i nic nie wie, dziwi się, z wielką gorliwością grzebie w dokumentach, ze skóry wylazi żeby pomóc inspektorom.

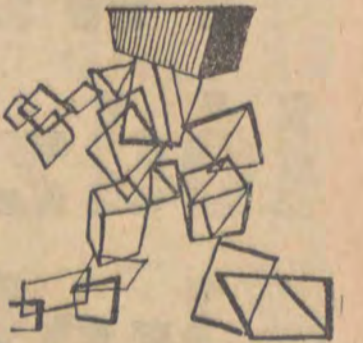
— Oni podejrzewają jakąś aferę — mówiła nasza archiwistka i oczka jej łzawiły. — Proszę pana, niech pan sobie wyobrazi, pytali czy pan nie pożyczął ode mnie ostatnio tego segregatora! Toż na nim kurz na dwa palce!

Śmiałem się i mówiłem, żeby się nie przejmowała. Zaczyna się więc odgrywanie roli, do której bardzo źle jestem przygotowany. Nie mogę wyjść ze zdumienia, że stało się coś, co — obiektywnie biorąc — pozwala kojarzyć ze mną słowo „afera”. Panowie, to nieprawda, miałem sto tysięcy okazji potem i przedtem, nie wam to nie mówi? Zaniebuję ojcowskie obowiązki gwoździ głupiej korekty, nie czuję smaku młodych rzodkiewek, nie wiem czy Henio ma córki czy synów, puchnie mi wątroba, zapalają się korzonki, nie sypiam po kawie. Mam żonę, z którą mijamy się jak w złym śnie. Przeczytaj, przeczytaj te słowa, wysmakuj z nich choć trochę satysfakcji.

Otóż i zakończenie listu, chowanego pod kamień. Nie, racja, między kartkami drugiego tomu Ekonomii. Naprowadzę cię na jego ślad. Ale chyba wtedy, gdy na drugim tomie Ekonomii będzie kurzu — na dwa palce.

WŁODZIMIERZ KRZEMINSKI

stowały swoją solidarność z tym i tym” albo „kobiety łódzkie radzą...”. To są nasze żony, matki i siostry,



kobiety-bohaterki. Tym wszystkim kobietom należy się niejedna laurka i nie jeden artykuł.

FELIKS BĄBOL

**Paradoksy
naszych
czasów**

ODGŁOSY

tygodnia

Zyjemy w dobie wyczerpanej walki o papier. Nauczaliśmy się już szanować maktaturę. W poszukiwaniu dalszych oszczędności dzienniki i tygodniki zmniejszają swoją objętość, nieraz kosztem stałych rubryk. Są jednak instytucje do których nie docierają widocznie codzienne nawoływania o oszczędzanie. Wpadło nam ostatnio w ręce osobliwe piśmko wysłane przez łódzki oddział wydziału finansowo-rachunkowego Państwowego Zakładu Ubezpieczeń do pewnej instytucji. Z kartki, niewiele mniejszej od połowy strony naszego tygodnika, zadrukowanej misternymi rubryczkami, zaopatrzona w masę stempli i parę nieczytelnych podpisów wyczytać można, że instytucja taka to a taka winna wpłacić na konto PZU złotych polskich trzy (3 zł). Nie wiemy ile kosztuje wydrukowanie takiego zawiadomienia, ale gdyby zsumować cenę papieru, znaczka pocztowego i czasu zmarnowanego przez kilkoro osób — przekroczyłyby to na pewno załączające trzy złote. Rozumiemy w pełni potrzeby księgowości, ale to chyba gruba przesada. Nie wystarczyłby przypadkiem telefon?! Na zakończenie niezamierzony prawdopodobnie dowcip — otóż wymienione wyżej saldo figuruje, jak donosi piśmko, w księgach PZU pod datą 31. 12. 1963 rok. Panowie! co tu wyraźnie nie gra.

**W trosce
o wdzięk**

Obok wielu sławnych związków i klubów sportowych istnieje niepozorna instytucja ukrywająca się pod skrótami TKKF, która prowadzi nie mniej pożyteczną działalność sportową. Towarzystwo Krzewienia Kultury Fizycznej przyjęło zasadę organizowania wielkich akcji masowych. Jedną z nich jest „gimnastyka przy muzyce” dla kobiet w wieku lat od 18 do 60. Poza wszelkimi walorami czysto sportowymi, zajęcia te mają podobno (co szczególnie pani zainteresuje) wpływ bardzo dodatni na tzw. linię czyli kształtowanie pięknej i młodzieńczej sylwetki. Po okresowej przerwie od 1 marca gimnastyka przy muzyce została ponownie wznowiona. Zapraszamy więc do brania w niej udziału. Wszelkie informacje na ten temat można uzyskać telefonicznie pod numerem 473-43.



**Nie klócić się,
sąsiedzie**

Przy bloku nr 27 Dzielnic-Sródmieście od 22 września 1962 roku działa Społeczna Komisja Pojednawcza. Liczy ona dwadzieścia osób, które tworzą trzy zespoły, a przewodniczącym jej jest rencista, inżynier Józef Hryniewicz. Komisja zatrwala do chwili obecnej trzydzieści spraw pojednawczych; z tego — dziesięć zakończyło się sasiadkim happy-endem.

O co klócić się sąsiedzi? Najczęściej powód — to zatargi z powodu wspólnych mieszkań. Pani Malinowska wrzucała mydło do gotowanego przez pania Kowalską, ponieważ pani Malinowska miała pretensje do pani Kowalskiej, że ustawiła we wspólnej kuchni zbyt wielki kredens. Pani Kowalska nie będąc gotową, do zupy pani Malinowskiej nasypała proszku do prania. Jako że również miała podobne pretensje. Tak więc sąsiedzi się klóć. O wspólne użytkowanie kuchni, urządzeń sanitarnych, korytarzy. Sąsiedzi się klóć. W sądach печенія akta pskówek i zatargów powstających właśnie na takich podłożach.

Na sesji Dzielnicowej Rady Narodowej Łódź — Śródmieście powstał więc projekt utworzenia Społecznych Komisji Pojednawczych. Projekt „chwycił”, został przyjęty przez inne dzielnicowe Rady Narodowe; ba! w tej chwili ciągną do Łodzi plebiscytm zainteresowanych w innych miastach wojewódzkich. Ta pożyteczna i cenna społecznie inicjatywa zdała próbną okres eksperymentu, dowiodła, że jest ze wszech miar dobrym pomysłem.

Społeczne Komisje Pojednawcze nie narzekają na brak pracy. Mają pełne ręce roboty. Coż, sąsiedzi lubią się klócić i wadzić. Jednak często są to sprawy smutne. Oto syn wraz z żoną występuje przeciwko rozdanej matce — staruszce. Nie ma zgody. Nie może być zgody. Powód — zatarg o kuchnię. Przy okazji takiej sprawy wychodzą na światło dzienne tragedie ludzkie. — Syn pchnął ojca. Pchnął tak, że ojciec znalazł się w szpitalu. — Tylko go pchnęłam — powiada syn. — „Tytko”.

Ciekawy jest skład socjalny Społecznych Komisji Pojednawczych. W sumie w działających na terenie Łódzi komisjach, jest około tysiąca społeczników. Ponad połowa — to robotnicy. Liczba osób młodych, bardzo szczupła — siega zaledwie 81; natomiast przeważają ludzie starsi; w wieku emerytalnym, działa ich w komisjach 567 osób. No cóż, temat na reportaż: „Użyteczna starość” prawie gotowy.

SYLWETKI ŁÓDZKICH AKTORÓW



ALICJA SOBIERAJ jest łodzianką i znana jest dobrze publiczności nie tylko Łodzi ale i całego województwa, a to dlatego, że jest w zespole Teatru Ziemi Łódzkiej.

Swoją pracę aktorską rozpoczęła zaraz po wyzwoleniu, w Lublinie — w Teatrze Centralnego Domu Żołnierza. Następnie po 9 długich latach pracy w teatrach dolnośląskich p. Alicja wraca w 1955 r. do rodzinnej Łodzi i w Teatrze Ziemi Łódzkiej gra z powodzeniem do dnia dzisiejszego.

Pamiętamy ją w rolach:

Wandy Ogrodzkiej — w „Grzechu” Żeromskiego, Kamili — w „Serce nie sługa”, Julii — w „Moralności pani Dulskiej” Zapolskiej, Heleny w „Deszczu”, Ochmistrzyni — w „Cud nie cud”, Marty Owen — w „Annie Christie” O’Neill’a oraz obecnie księżna Malbrough w „Szkłance wody” Scribe’a.

P. Alicja zwierza się, że najbardziej lubi role dramatyczne.

Tekst i zdjęcie GERARD PUCIATO

Ala... już nie ma kota

Często powtarzane narzekanie — zwłaszcza wówczas, gdy jest ono uzasadnione — znajduje po pewnym czasie swój wyraz w lapidarnych określeniach, które bardzo szybko stają się własnością ogółu, są chętnie powtarzane, bo kogoś usprawiedliwiają, rozgryzają, kogoś znówu atakują.

O tym, że „Ala ma kota”, wie całe społeczeństwo, bo każdy zaczynał swoją „edukację narodową” od elementarza Falskiego. O tym, że ten prosty sąd o Ali i jej kocie wyrażał krytyczny stosunek do jednego z ważkich problemów szkolnictwa dla pracujących, mianowicie do stosowanych w nich podręczników, wie znaczna część doroślejszego społeczeństwa, bo przecie „Polska jest krajem ludzi kształceńcych się” i właśnie ci ludzie skutki braku odpowiednich podręczników często na własnej skórze doświadczyli. Ale o tym, że ten stan rzeczy uległ w ostatnich dwóch latach i nadal ulega radykalnej zmianie, nie wiedzą niktędy ani zakłady pracy, które bardzo często zaopatrują bezpłatnie swoich pracowników w potrzebne materiały i podręczniki, ani nawet — dość często — sami nauczyciele, którzy w szkołach, dla pracujących borykają się z poważnymi trudnościami.

O takie wydania niemal wszystkich podręczników potrzebnych w szkołach podstawowych i na kursach ogólnokształcących dla



dorosłych wiedzą w tej chwili chyba najlepiej kierownicy Domów Książki. W ich magazynach leżą stopy podręczników, które natychmiast powinny znaleźć się w rękach uczniów i nauczycieli. Tymczasem i jedni i drudzy w dalszym ciągu narzekają na brak książek przystosowanych zarówno do obowiązującego programu Ministerstwa Oświaty, jak i do psychiki człowieka dorosłego. Wiele szkół i kursów nie wyszło jeszcze z epoki streszczającej się w powiedzeniu „Ala ma kota”. Skutki tego stanu rzeczy są fatalne: ręce robotników fizycznych, którzy masowo przystępują do egzaminów eksternistycznych w zakresie szkoły podstawowej, drżą w momencie sięgania po kartkę z pytaniami nie tylko dlatego, że są spracowane. Ludzie ci bardzo często przystępują do egzaminów zupełnie nie przygotowani. Nie wiedzą, że w podręcznikach dla nich napisanych, mogli znaleźć potrzebne wiadomości. Dla nich egzamin jest potraceniem, męczarnią, a tylko w rzadkich przypadkach usmiechem losu, jakąś szczęśliwą „Kukulczką” czy „Tudkiem”.

Tak jak na naukę nigdy nie jest za późno, tak i na zaopatrzenie szkół dla dorosłych i kursów ogólnokształcących w nowe podręczniki też nie jest za późno.

Przejmna strona graficzna, przejrzysty układ, przemyślana tematyka i selekcja materiału programowego dokonana pod kątem potrzeb i możliwości uczących się ludzi dorosłych, na pewno sprawią, że każda książka zostanie przyjęta przez odbiorców z dużym uznaniem i wdzięcznością.

Z całą pewnością nikogo nie zmartwi nowa, mało w terenie znana prawda o tym, że narazicie... Ala już nie ma kota.

K. B.

Redaguje Zespół • Wydawca „Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” • Adres redakcji Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 214-79 • Wzrostki prenumeratowi miesięcznie 21 zł., kwartalnie 22 zł. — • Redakcja nie zamawia reklam — wszystkie placówki pocztowe, biostonosze oraz PZPK „Roch” — z sianaczeniem na „Odgłosy” • Druk: RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki 17 Zam. 680, III, 63, K-4

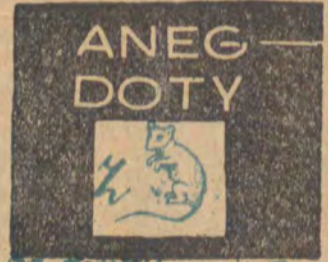
**Przepisy
albo życie**

Rzecz dzieje się przed Miedzyzakładowym Domem Kultury na Siedleckiej w zwyčajny, obłodziy i zaśnieżyony dzień. Dwunastoletnia dziewczynka łamie nogę. Wychodzące z zajęć instruktorci wzywają pogotowie. Okazuje się jednak, że w myśl przepisów karetka pogotowia do tego rodzaju wypadków nie przyjeżdża. I teraz łatwo sobie wyobrazić następującą sytuację: ktoś łamie nogę w obcym mieście, nie mając znajomych i pieniędzy na taksówkę. Pewnie, od złamanej nogi się nie umiera...

ma prawie 41°C gorączki. Mężczyzna prosi o natychmiastową wizytę lekarską w domu. Okazuje się jednak, że lekarz nie ma prawa udziałić chorej kobiecie pomocy — urzędniczka w rejestracji informuje grzecznie, że lekarz może przyjść do chorego tylko w godzinach od 20 do 5 rano. Cała ta zaś w miarę burzliwa scena rozgrywa się o godzinie 17. Nie winimy ani lekarza, ani rejestratorów — trzymają się oni przepisów. Ale co się stanie z chorą kobietą? Nie widzimy innego wyjścia prócz tych dwóch: przepisy albo życie.



Do przychodni rejonowej w środku Łodzi na Piotrkowskiej, przychodzi mężczyzna i zgłasza w rejestracji, że jego teściowa, kobieta w wieku lat ośmędziesięciu sześciu jest ciężko chore,



ZA WCZESNIE

W roku 1908 w Teatrze Fryderyka Selina przy ul. Konstytucyjnej (obecnie Obr. Stalingradu) ukształtował się mieszany — zawodowo-amatorski zespół operowy. Wystawiono „Lohengrina”, którego grał gościnnie występujący znakomity śpiewak Leo Slezak. Jak wiadomo, w ostatnim akcie Lohengrin ma wsiąść na łabędzia i odpłynąć. Inspicjent jednak za wcześnie dał znak odjazdu i łabędź odfrunął bez pasażera. Nie zrażony tym Slezak śpiewał jak

gdyby nigdy nic: A kiedy odchodzi następny ła będz...

CZY WYJDZIE COS Z TEGO?

Znakomity, skrzypek Stanisław Barcewicz raz na miesiąc dojeżdżał z Warszawy do Konserwatorium Kijewskiej w Łodzi na lekcje. Korzystając z jego pobytu matka jednej z uczennic zapytała: — Panie profeszorze, jak pan znajduje moją córkę, czy robi postępy? Czy wyjdzie coś z tego? — Może wyjdzie — odparł Barcewicz — ale za mąż.